W NUMERZE:

Madryt sprawiedliwy ■ Suchy śnieg ■ Saga rodziny Chorążych ■ Moje 35-lecie (Tadeusz Chróścielewski) ■ Felietony ■ Recenzje ■ Polityka

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 3 (1154) ROK XXIII 20 STYCZNIA 1980 R. CENA 3 ZŁ

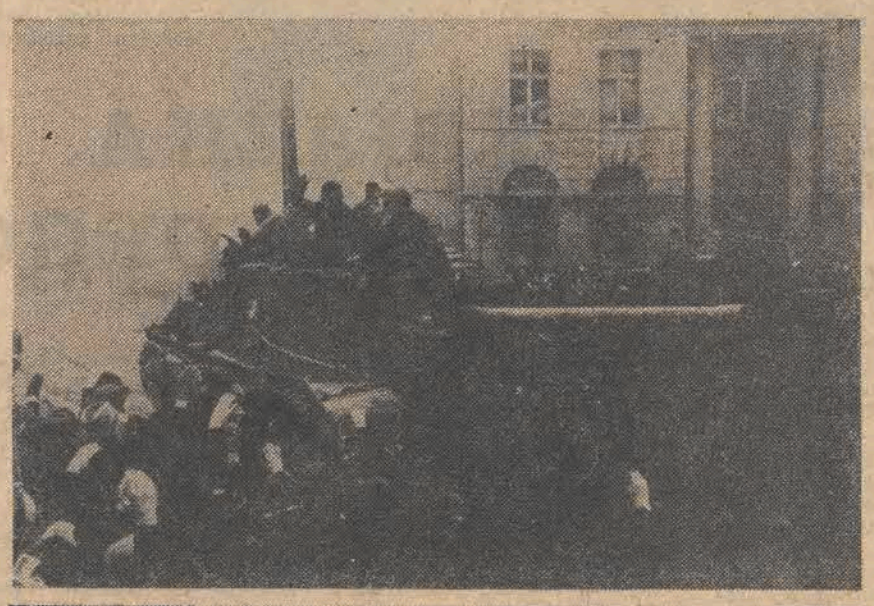

PIERWSZE DNI WOLNOŚCI: 1—2 czołg radziecki na Placu Wolności (wówczas widniały na nim napisy „Deutschlandplatz") oraz żołnierze polscy na skrzyżowaniu ul. Piotrkowskiej (wówczas jeszcze Adolf Hitler Strasse) i obecnej 22 Lipca — w dniu 19 stycznia 1945 r. 3—4 Manifestacja ludności Łodzi z okazji wyzwolenia — luty 1945. (Zdjęcia z Archiwum Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi).

LEON DUBICKI

RUSZYŁA OFENSYWA

Szybko minęły słotne, jesienne dni zawziętych walk z doborowymi jednostkami niemieckimi z 4 Korpusu Pancernego SS, na północ od Pragi oraz w rejonie Jabłonny i Legionowa. Nadszedł mroźny grudzień 1944 roku. Sytuacja frontowa stopniowo się ustabilizowała. Wszystkie jednostki 1 Armii WP rozpoczęły wzmożone szkolenie polityczne, bojowe i taktyczne, jednocześnie uzupełniając straty w ludziach i sprzęcie, zgodnie z wytycznymi dowódcy armii, generała Władysława Korczyca, który od 12 października 1944 roku zastąpił generała Zygmunta Berlinga. Zgodnie z ówczesnym planem przygotowania i szkolenia wojsk należało do końca roku osiągnąć pełną gotowość bojową. Ofensywa ta miała przynieść wyzwolenie Warszawy i kraju spod niewoli hitlerowskiej.

1 dywizja piechoty im. Tadeusza Kościuszki intensywnie i pedantycznie przygotowywała się do czekających ją walk. Jako szef sztabu artylerii dywizji miałem dużo pracy przy planowaniu, organizacji i kontroli szkolenia bojowego podległych mi sztabów i jednostek artylerii. Podczas szkolenia taktycznego obszernie omawialiśmy sytuację na wszystkich frontach Europy, ustalając prognozy dalszego przebiegu wojny i doszukując się oznak zwiastujących szybką, ostateczną klęskę Rzeszy hitlerowskiej.

Z dużym zainteresowaniem śledziliśmy przebieg rozpoczętej 16 grudnia 1944 roku przez Hitlera ofensywy w Ardenach.

24 grudnia nadeszła wiadomość o zatrzymaniu się niemieckiego natarcia w Ardenach. Rozpoczęły się tam przewlekłe zmagania wyniszczające.

Drugą żołnierską gwiazdkę, a pierwszą od wielu lat w kraju, obchodziliśmy w Zielonce pod Warszawą, gdzie wówczas rozmieszczone było dowództwo naszej dywizji. Gwiazdka ta wypadła bardzo uroczyście i bardzo radośnie. Byliśmy pełni nadziei na rychłe zakończenie wojny.

Bezpośrednio po świętach Bożego Narodzenia dowiedzieliśmy się, że dowódca naszej armii, generał Władysław Korczyc odchodzi do Lublina na wyższe stanowisko. Na jego miejsce natomiast został mianowany generał Stanisław Popławski, dotychczasowy dowódca 3 Armii. Naczelne Dowództwo WP, przewidując rychłe zakończenie wojny, zaniechało bowiem dalszych prac przy formowaniu 3 AWP, kierując wszystkie środki na przyśpieszenie tempa formowania 2 AWP, dowodzonej przez generała Karola Świerczewskiego.

Sylwestra obchodziliśmy hucznie, w nastroju wielkiego optymizmu i najlepszych prognoz na rok 1945. Los wciąż nam sprzyjał.

Dowództwo hitlerowskie popełniło w tym czasie duży błąd. W ostatnich dniach grudnia 1944 roku z rejonu Modlina został przeniesiony na Węgry 3 niemiecki Korpus Pancerny SS (3 D Panc SS „Totenkopf" i 4 D Panc SS „Wiking"), który był poważną siłą obronno-zaczepną, jaką Niemcy dysponowali w rejonie Warszawy. Właśnie ten korpus SS uniemożliwił wyzwolenie stolicy w końcu lipca przez 2 radziecką Armię Pancerną gwardii, zadając jej wielkie straty w rejonie Wołomina, Radzymina i Okuniewa. Również we wrześniu 1944 roku uniemożliwił szybkie wyzwolenie Warszawy, zatrzymując na północ od Pragi natarcie 47 i 70 Armii Radzieckich, które miały sforsować Wisłę i oskrzydlić Warszawę od północy. Zabierając 4 K Panc SS z rejonu Warszawy, Hitler pozbawił dowódcę słabej i wykrwawionej 9 Armii niemieckiej, generała Emila von Lütwitza poważnej siły bojowej.

1 stycznia 1945 roku dowiedzieliśmy się, że Niemcy wznowili ofensywę w Ardenach, angażując tam do reszty wszystkie odwody i rezerwy, jakie Hitler posiadał do swojej dyspozycji. 6 stycznia 1945 roku, na odprawie w sztabie Armii dowiedziałem się oficjalnie o tym, że w połowie stycznia Armia Radziecka rozpocznie wielką generalną ofensywę zimową, która ostatecznie rozstrzygnie losy wojny. Zapoznano nas z planem przegrupowania Armii i z koncepcją jej udziału w wyzwoleniu Warszawy. W nocy z 7 na 8 stycznia 6 DP zluzowała oddziały 4 DP i zajęła obronę wzdłuż Wisły na wyznaczonym jej odcinku. Natomiast 4 DP odeszła do drugiego rzutu Armii, aby przygotować się do przegrupowania i udziału w wyzwoleniu Warszawy w składzie sił głównych Armii. Nasza zaś dywizja rozpoczęła kompletne przygotowania do przemarszu do nowego rejonu koncentracji, położonego na południe od Warszawy, w rejonie miejscowości Osiek oraz do forsowania Wisły i prowadzenia natarcia w warunkach zimowych. 12 stycznia po południu ze sztabu Armii otrzymaliśmy wiadomość o rozpoczęciu przez wojska 1 Frontu Ukraińskiego pod dowództwem marszałka Iwana Koniewa ofensywy z przyczółka sandomierskiego.

Wieczorem 12 stycznia, dywizja nasza, pod osłoną ciemności, kilkoma kolumnami wyruszyła w kierunku na Rembertów, Wesołą, Kąck i Malcanów. Podczas postoju w rejonie wsi Glinianki dowiedzieliśmy się, że 13 stycznia wojska 3 Frontu Białoruskiego pod dowództwem generała armii, Jana Czerniachowskiego, przeszły do ataku przeciwko wschodniopruskiemu zgrupowaniu wojsk niemieckich. Przełamały obronę 3 niemieckiej armii pancernej i rozpoczęły natarcie w kierunku Królewca, na północ od jezior mazurskich. Napotkały tam jednak na silny opór nieprzyjaciela. Pomimo tego natarcie rozwijało się pomyślnie.

Wieczorem, 13 stycznia, dywizja nasza wyruszyła w kierunku na Lipowo, Celestynów, Regut i Ponurzycę. Po trudnym, przeszło 30-kilometrowym nocnym marszu zatrzymała się w rejonie: Czarnowiec, Huta, Wojtowizna i Rudnik. Sztab dywizji zakwaterował się we wsi Górki.

Z przyczółków nad Narwią wojska 2 Frontu Białoruskiego, pod dowództwem marszałka Konstantego Rokossowskiego, przeszły do natarcia na kierunku na Mławę — Malbork w celu odcięcia wschodniopruskiego zgrupowania wojsk od pozostałych sił niemieckich w Polsce. Pomyślnie przełamały obronę 2 niemieckiej armii i rozwinęły natarcie w kierunku północno-zachodnim. 70 Armia tego Frontu, w ramach współdziałania z 47 Ar-

Dalszy ciąg na str. 5

KONRAD FREJDLICH

KRZYK OSTATECZNY

Spowszednienie jest wrogiem pamięci, Ulicą Zgierską, traktem łączącym Łódź z Wybrzeżem, pędzą ciężarówki, swojskie „Stary" i ciężkie prostopadłościany TIR-u z zagraniczną rejestracją. Niektórzy kierowcy zwalniają na widok wystrzelającego pod niebo obelisku, ale zaraz naciskają pedał gazu. Czy mają świadomość, że pewien odcinek wyasfaltowanej dzisiaj szosy, będzie ich prowadził drogą śmierci, wprost do lućmierskich lasów, które kryją dziesiątki zbiorowych mogił? Spowszednienie jest wrogiem pamięci, ale pamięć, nawet nieproszona, upomina się o swoje prawa. Tej pamięci na imię Radogoszcz, albo Radegast, a ściślej „Erweitertes Polizeigefängnis Radegast". (Rozszerzone Więzienie Policyjne Radogoszcz).

Styczeń roku 1945 był mroźny, na ulicach Łodzi leżał nie uprzątnięty śnieg wymieszany z okruchami szkła z wybitych okien, ale na północnym przedmieściu miasta śnieg był szary, wymieszany z popiołem i sadzą, a w powietrzu unosił się tłusty, słodkawy zaduch. Wojska 1 Frontu Białoruskiego, które siedemnastego stycznia przekroczyły Wisłę w rejonie Warszawy, szybkim marszem posuwały się na zachód. Od strony Tomaszowa nacierały na Łódź oddziały radzieckiej piechoty dowodzone przez generała Tichonczuka. Wspierały je czołgi 1 Armii Pancernej, które zamknęły niemal wszystkie drogi wyjazdowe z miasta. Dziewiętnastego stycznia czołgi generała Katukowa wjechały na plac Wolności witane entuzjastycznie przez ocalałych mieszkańców. Na kronikalnych zdjęciach czołówki filmowej Wojska Polskiego, która utrwaliła ten historyczny moment, widać wybuch radości, z jaką miasto powitało swoich wyzwolicieli. W tamtej podniosłej chwili nikt jeszcze nie znał prawdy o Radogoszczu. Krótko przed południem radzieckie tankietki dotarły do wypalonych murów fabryki Samuela Abbego. To tutaj, za trzymetrowym murem podwyższonym o drut kolczasty i strażnicze wyżki najeżone lufami karabinów maszynowych, ześrodkowało się życie okupacyjnej Łodzi, wyznaczane przez apele na mrozie, maneże, „warsztaty" do zadawania razów, izby chorych bez leków i pożywienia, warkot studebeckerów ze szczelnie zasznurowanymi plandekami. Ale dziewiętnastego stycznia 1945 roku panowała tu cisza. Kiedy wyłamano bramę radogoskiego więzienia, oczom obserwatorów przedstawił się przerażający widok leżących bezładnie na dziedzińcu ludzi. Na zachowanych zdjęciach widać poskręcane w grymasie bólu ciała, popalone twarze, zwęglone kości. Dziś na tym miejscu wzniesiono symboliczny grobowiec z porażającym swą lapidarnością napisem: „TU SPOCZYWAMY ZAMORDOWANI W PRZEDDZIEŃ WOLNOŚCI. IMIONA I CIAŁA ZABRAŁ NAM OGIEŃ. ŻYJEMY TYLKO W WASZEJ PAMIĘCI, NIECHAJ ŚMIERĆ TAK NIELUDZKA NIE POWTÓRZY SIĘ".

W geografii niemieckich zbrodni Radogoszcz znaczył niewiele. Dla zarządzających kombinatami śmierci, którzy operowali skalą setek tysięcy, a nawet milionów ofiar, roz-

Dalszy ciąg na str. 4

TRZECIA WOJEWÓDZKA W PIOTRKOWIE TRYBUNALSKIM

11 stycznia 1980 roku 227 delegatów wojewódzkiej organizacji partyjnej w Piotrkowie Trybunalskim obradowało nad najważniejszymi sprawami województwa. W toku obrad III Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR dokonano oceny dotychczasowych osiągnięć województwa, wskazano na występujące braki i niedociągnięcia oraz nakreślono program dalszej pracy nad rozwojem gospodarki i życia społecznego w Piotrkowskiem.

„Nie bylibyśmy jednak komunistami — mówił w referacie I sekretarz KW PZPR w Piotrkowie Trybunalskim, Stanisław Składowski — **gdybyśmy poprzestali na tym, co dotychczas zostało osiągnięte. Właściwy komunistom krytycyzm każe nam poszukiwać coraz to nowych rozwiązań oraz zdecydowanie przeciwdziałać i eliminować z naszego życia wszystkie te zjawiska, które pomniejszają nasz wspólny dorobek oraz odbiegają od podstawowych wymogów socjalistycznych stosunków społecznych, od dominującego klimatu powszechnego zaangażowania ludzi pracy naszego województwa".**

A do zrobienia w województwie piotrkowskim jest wiele. Najważniejszy jest Bełchatów. Zgodnie z planowanymi założeniami pod koniec 1980 roku w kopalni węgla brunatnego koparki mają dotrzeć do złoża węgla i wydobyć pierwsze jego kilogramy, a z pierwszego bloku energetycznego elektrowni mają popłynąć pierwsze kilowaty prądu elektrycznego. Tymczasem w drugim półroczu 1979 roku wystąpiły poważne zahamowania i utrudnienia, co może spowodować opóźnienie w stosunku do planowanych terminów. Mówił też o tym sztygar z Bełchatowa — **Józef Flaga.** Zwrócił on uwagę, ze Bełchatów cierpi na brak wysoko wykwalifikowanej kadry, dla której brakuje mieszkań. Bełchatów cierpi również na nieterminowe dostawy maszyn, urządzeń, konstrukcji, materiałów, co utrudnia i hamuje wykonywanie prac zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. Józef Flaga stwierdził słusznie, że występujące utrudnienia nie mogą przekreślić pięcioletniego wysiłku budowniczych Bełchatowa, że muszą być pokonane, a terminy dotrzymane.

W Piotrkowskiem sporo wybudowano w ostatnich latach. Nastąpił na przykład dwu i półkrotny wzrost budownictwa mieszkaniowego w porównaniu z 1975 rokiem. Oddano w tym czasie 14 516 mieszkań postawionych przez państwowe przedsiębiorstwa oraz 10 197 mieszkań wybudowanych przez mieszkańców województwa. W latach 1980—1981 wybuduje się w Piotrkowskiem 12 450 mieszkań. Założono, że do 1985 roku w każdej gminie wybuduje się minimum 20 mieszkań dla specjalistów tam pracujących. W najbliższych dwóch latach szczególną uwagę poświęci się modernizacji i uporządkowaniu Tomaszowa Mazowieckiego i Radomska, a w następnych latach — Opoczna i Przedborza.

Dzięki programowi inwestycyjnemu, racjonalizacji, wydajności pracy i poprawie organizacji rozwijał się przemysł województwa. Nastąpiła na przykład poprawa jakości produkcji. W 1975 roku produkowano tutaj 290 wyrobów ze znakiem jakości, obecnie produkuje się ich przeszło 600. Rocznie uzyskuje się średnio około pół miliarda złotych korzyści z rozwoju racjonalizacji, wynalazczości i współzawodnictwa pracy. Ale jednocześnie uzyskano niezadowalające wyniki w produkcji eksportowej.

Zabierający głos w dyskusji delegaci zwracali uwagę na niedostatki w pracy samorządów robotniczych, na małe zainteresowanie zjednoczeń i ministerstw problemami, z jakimi borykają się fabryki województwa piotrkowskiego, a bez pomocy nadrzędnych jednostek z wieloma sprawami trudno uporać się samemu. **Krystyna Juśkiewicz** — przewodnicząca WRZZ — mówiła również o potrzebie zacieśnienia współpracy między grupowymi partyjnymi a mężami zaufania, większej aktywności samorządu robotniczego, aby wspólnie rozwiązywać zagadnienia związane z bezpieczeństwem pracy, troską o kobiety pracujące i ogólną poprawą warunków pracy w niektórych zakładach.

Sporo uwagi delegaci poświęcili sprawom rolnictwa. Województwo piotrkowskie pod tym względem należy do przodujących w kraju. Coraz większą rolę w rozwoju rolnictwa odgrywają tutaj gospodarstwa specjalistyczne, których jest już 2 200 oraz zespoły chłopskie. Nadal będzie się rozwijało te formy gospodarowania na wsi, udzielając im niezbędnej pomocy. Mówił o tym w dyskusji wojewoda piotrkowski **Leszek Wysłocki.** Natomiast **Stefania Winkiel** ze Spółdzielni Produkcyjnej w Katarzynowie, gmina Koluszki, zwróciła uwagę na rolę kobiet na wsi. Na nich spoczywa spory ciężar odpowiedzialności nie tylko za rodzinę, wychowanie dzieci, ale i za gospodarkę, a w stosunku do tej odpowiedzialności kobiety nie mają odpowiedniej reprezentacji w różnych władzach na wsi i nie tylko na wsi.

W dyskusji i referacie zwrócono też uwagę na potrzebę doskonalenia form i metod pracy partyjnej. **Stanisław Składowski** tak to między innymi sformułował w referacie:

„Sprawą, na którą chcielibyśmy zwrócić szczególną uwagę jest potrzeba dalszego pogłębiania wiedzy marksistowsko-leninowskiej... Z niepokojem obserwujemy także zjawisko zanikania w niektórych organizacjach partyjnych merytorycznych dyskusji. Niekiedy towarzysze zapominają o tym, że jedność myśli i działania powstaje właśnie w wyniku dyskusji, ścierania się poglądów i należy ją wspólnie wypracować. Tylko taki styl działania zapewnia podejmowanie słusznych decyzji i skupienie wokół ich realizacji wszystkich członków organizacji partyjnej".

III Wojewódzka Konferencja Partyjna w Piotrkowie Tryb. wybrała 26 delegatów na VIII Zjazd PZPR oraz nowe władze instancji wojewódzkiej. Obok delegatów wybranych na konferencji wojewódzką organizację partyjną na VIII Zjeździe partii reprezentować będzie 6 delegatów wybranych przez duże organizacje partyjne.

Komitet Wojewódzki PZPR w Piotrkowie Tryb. funkcję I sekretarza powierzył **Stanisławowi Składowskiemu.**

(L.W.)

KSIĄŻKA DLA KAŻDEGO

„Nie mogąc zaspokoić obecnie wszystkich potrzeb czytelniczych, chcemy zaspokoić te najczęściej występujące i według powszechnej, kompetentnej opinii uznane za uzasadnione. Z tych naszych pragnień zrodziła się idea biblioteki „Książka dla każdego..."

Te słowa, pochodzące z wypowiedzi I zastępcy ministra kultury i sztuki Wiesława Beka z września ubiegłego roku, warto przypomnieć dzisiaj, w styczniu 1980. Idea, o której mówią, stała się bowiem faktem. W najbliższych dniach do księgarń trafią pierwsze tomy nowej, szeroko zakrojonej inicjatywy wydawniczej, która w ogniu dyskusji i polemik na temat jej ostatecznego kształtu zachowała swą pierwszą, roboczą jeszcze nazwę: „KSIĄŻKA DLA KAŻDEGO".

W założeniach inicjatorów biblioteka ma zaspokoić najpilniejsze potrzeby szerokich rzesz czytelników, przejmując na siebie podstawowe zadanie upowszechniania w dziedzinie klasyki. Dzięki nakładom, wahającym się od 100 do 250 tysięcy egzemplarzy, zagwarantowana zostanie stała obecność najważniejszych książek na rynku. Tam, gdzie pierwszy nakład okaże się za mały dla pełnego nasycenia potrzeb. przewiduje się dodruki.

Dodruki są podstawową zasadą wydawniczą na całym świecie, nie u nas. Nadzieje na rychłą poprawę w tej dziedzinie wiążą się z uruchomieniem nowych zakładów graficznych w Gdańsku. Trzonem ich produkcji mają być właśnie dodruki i wznowienia. Nie da się ukryć, że od harmonijnego zgrania nowo ukazujących się i stopniowo wyczerpywanych tytułów z dodrukami zależeć będzie powodzenie „Książki dla każdego". Zdaniem księgarzy o pełnym zaspokojeniu potrzeb będzie bowiem można mówić w chwili, gdy większość poszukiwanych, a niedostępnych dziś na rynku książek, osiągnie nakład pół miliona. Tytuły, które wejdą w skład biblioteki „Książka dla każdego", należą również do tych książek. Ich rola będzie zatem wielką.

Przy tym wszystkim warto pamiętać, że „Książka dla każdego" opiera się na bieżącej produkcji wydawniczej i jest tylko *inicjatywą doraźną*. W żadnym wypadku nie rozwiąże wszystkich problemów nurtujących dzisiaj ruch wydawniczo-księgarski w dziedzinie taniej książki masowej. Z tego też powodu „Książkę dla każdego" wspierać będą inne już istniejące i cieszące się popularnością wśród czytelników serie wydawnicze. Jak choćby zapoczątkowane przez PIW cykle antologii literackich i wyborów dzieł najwybitniejszych pisarzy polskich i obcych.

Inicjatywa „Książki dla każdego" wyłoniła się w trakcie szerokiej dyskusji, zainaugurowanej memoriałem POP Związku Literatów Polskich, dotyczącym sytuacji książki w Polsce. Propozycję tę poparło Ministerstwo Kultury i Sztuki, bardziej szczegółowe dyskusje nad obliczem tej inicjatywy przenosząc na forum świeżo powołanej (m. in. z myślą o lepszym rozdziale papieru na cele kultury) Rady Literacko-Wydawniczej.

W wyniku dyskusji sporządzona została lista 50 tytułów, które jako pierwsze wejdą w skład „Książki dla każdego". Powstały serie: klasyka polska i obca, literatura dla dzieci oraz encyklopedie i podręczniki. Pierwsza lista to jednak dopiero początek wielkiego zamierzenia: kompletny zestaw biblioteki oblicza się bowiem na ok. 250 — 300 tytułów, z których ok. 60 — 80 stanowić będzie klasyka narodowa, a 120 — 140 — światowa. Tytuły te utworzą w przyszłości podstawowy trzon każdej, nowej bilioteki domowej; uzupełnią również najbardziej elementarne braki w księgozbiorach bibliotek publicznych.

„Książka dla każdego" jest imprezą międzywydawniczą, a tytuły ukazujące się pod jej szyldem różnić się będą szatą edytorską i formatem. Kiedy otwieramy, np. tom „Wojny i pokoju", na frontspisie — pod tytułem i nazwiskiem autora — ukazuje się naszym oczom dyskretny znak: sowa z rozpostartymi skrzydłami w otoku ze słów: Książka dla każdego. Ten emblemat — oprócz zauważalnie wysokich nakładów — będzie jeszcze jedną wspólną cechą łączącą wszystkie tomy.

Czy i kiedy „Książka dla każdego" zaspokoi wszystkie oczekiwania czytelników? Dyrektor handlowy łódzkiego przedsiębiorstwa „Dom Książki" Jan Gruszczelak jest umiarkowanym optymistą. — Wszystkie pozycje będą szlagierami — twierdzi.

To samo dotyczy Łodzi. Zapowiadają to już tytuły, których mogą łodzianie spodziewać się w najbliższej przyszłości. Wymieńmy je: ilustrowana encyklopedia dla dzieci i młodzieży „Polska — moja ojczyzna": 150 tys. nakładu, dla Łodzi i trzech pozostałych województw pozostających w gestii „Domu Książki" (piotrkowskie, skierniewickie, sieradzkie) — 2,9 proc. całego nakładu (pierwszy rzut); Mała Encyklopedia Medycyny: 100 tys., dla Łodzi — 5,6 proc.; „Pan Tadeusz" Adama Mickiewicza: 250 tys., dla Łodzi — 6 proc.; „Krzyżacy" Henryka Sienkiewicza: 250 tys., dla Łodzi — 5,8 proc.; Lew Tołstoj — „Wojna i pokój": 100 tys., dla Łodzi — 6,2 proc. Nie są to — jak na razie — ilości imponujące, ale i tak nieco wyższe od przydziałów dla Łodzi innych książek. Poza „Książką dla każdego" bowiem udział łódzkiego przedsiębiorstwa w puli z centralnego rozdzielnika tytułów w ostatnim czasie niepokojąco spada. Jeszcze w 1978 roku wskaźnik tego udziału dawał się przynajmniej w przybliżeniu określić (i wynosił 6,5 proc.); dzisiaj nawet to jest niemożliwe...

Jak z powyższego zestawienia wynika, pierwszy nakład „Książki dla każdego" łodzianie będą musieli potraktować raczej jako zapowiedź.... dodruków. Te ostatnie podejmować się będzie niejako automatycznie po wyczerpaniu danego tytułu. W ciągu 2—3 miesięcy mają trafiać do księgarń. I tak aż do pełnego pokrycia potrzeb.

Minie zatem jeszcze trochę czasu, nim „Książka dla każdego" stanie się również „książką dla wszystkich". Mimo to rekomendujemy dzisiaj jej pierwsze tytuły z nadzieją, że ich coraz częstsza obecność na rynku doprowadzi w końcu do stanu, w którym zdobycie podstawowej lektury w rodzaju „Krzyżaków", podręcznej encyklopedii czy słownika poprawnej polszczyzny, nie będzie wymagała żadnych specjalnych zabiegów, a z łamów poczytnych tygodników znikną wreszcie rubryki nowości wydawniczych zatytułowane przewrotnie: „Spod lady"...

(TS)

COLARGOL PO RAZ TRZECI

Najmłodszych kinomanów zapewne ucieszy wiadomość o pojawieniu się na ekranach kolejnej, nowej wersji przygód misia Colargola. Jest to już trzeci, pełnometrażowy i kolorowy film z tego popularnego cyklu. Ponieważ jednocześnie prawdopodobnie ostatni, przypomnijmy pokrótce dzieje jego szybkiej kariery i powodzenia wśród dziecięcej publiczności. nie tylko zresztą w naszym kraju.

Colargol pojawił się na ekranach — początkowo tylko telewizorów — w 1968 roku. Powodzenie pierwszego filmu — „Poranek misia" — na tle silnie odczuwanych braków w atrakcyjnej twórczości filmowej dla dzieci — sprawiło, że inicjatywa łódzkiego Studia Małych Form Filmowych została zauważona i doceniona. „Poranek misia" otrzymał pierwszą nagrodę na festiwalu twórczości dla dzieci i młodzieży w Paryżu (po której — nieco później — przyszły następne, w kraju i za granicą), a jego autorzy — propozycję kontynuowania opowieści o przygodach sympatycznego niedźwiadka.

W 1976 roku Colargol stał się bohaterem pierwszego w Polsce pełnometrażowego filmu animowanego, spopularyzowanego następnie w telewizji (w formie serialu) i (po uzupełnieniu go specjalnymi dokrętkami) na ekranach kin. Dowodem szybkiej popularności filmu mogą być liczby: pierwszy film — przygody Colargola na Dzikim Zachodzie — obejrzało w ciągu dwóch lat ponad 800 tys. widzów, zaś drugi — zatytułowany „Colargol w kosmosie" (z 1978) — pół miliona widzów i to tylko przez rok.

Obecnie bohatera tego filmu znają dzieci w 20 krajach. Wejściu na rynek zachodni dopomógł niewątpliwie fakt, iż film był i jest nadal realizowany w koprodukcji z fracuską firmą „Procidis" w Paryżu. Pomysłodawcą Colargola jest Olga Pouchine, współautorem scenariusza — Albert Barillé, twórcą muzyki zaś (w ostatniej części) — J.M. Defay.

Trzon realizatorów wszakże stanowią twórcy związani z łódzkim „SE-MA-FOREM". Reżyserem i scenografem (a także drugim autorem scenariusza) jest Tadeusz Wilkosz. W realizacji ostatniego filmu pomagali mu m.in.: autor polskich dialogów i piosenek — S. Grabowski, reżyserzy — E. Ignaciuk, J. Kudrzycka, J. Hartwig, M. Kiełbaszczak, D. Zawilski, L. Dembiński, autorzy zdjęć — E. Ignaciuk, S. Kucner i L. Nartowski oraz kierownik produkcji — M. Sitek.

Nowy film nosi tytuł „Colargol i cudowna walizeczka", a jego premiera odbyła się 12 stycznia br. w łódzkim kinie „Przedwiośnie". By przybliżyć nieco fabułę filmu, a jednocześnie nie osłabić ciekawości, zasygnalizujemy tylko, iż jego treścią jest podróż Colargola dookoła świata w pościgu za — znanym już z wcześniejszych filmów — Złym Kidem. Trasa pogoni wiedzie przez kraje Europy zachodniej, USA, Meksyk, Afrykę i Syberię, a w poszukiwaniach pomagają sympatycznemu misiowi nie tylko inne, życzliwe zwierzęta, ale — przede wszystkim — owa tytułowa walizeczka, mająca cudowną moc przemieniania auta w balon, balonu w statek, statku w samolot i w inne, coraz szybsze środki lokomocji. Ale o szczegółach i o zakończeniu tej historii widzowie będą się mogli sami dowiedzieć w trakcie 75-minutowej projekcji.

Na pocieszenie widzów, których zapewne zmartwi wieść o zakończeniu przygód Colargola, dodajmy, że producent — wespół z RSW „Prasa-Książka-Ruch" pomyślał już o przedłużeniu żywota bohaterów filmu w pamięci najmłodszych widzów, przygotowując ok. 1,5-milionowy nakład kolorowych pocztówek z rysunkami z filmów. „SE-MA-FOR" myśli także o edycji — tym razem z Krajową Agencją Wydawniczą — serii książeczek do kolorowania z postaciami i scenkami z tych samych filmów. Poza wszystkim zaś wydaje się, że warto pomyśleć również o systematycznym wznawianiu popularnych opowieści z intencją prezentowania ich tej najmłodszej widowni, która starych „Colargoli" nie zdążyła już obejrzeć.

Skoro zaś mowa o zamierzeniach łódzkiego Studia, kilka zdań na temat ciekawej wystawy, jaką dla Muzeum Sztuki Nowoczesnej w zaprzyjaźnionym z Łodzią Tampere w Finlandii, przygotowuje się obecnie w „SE-MA-FORZE". Na wystawę tę złożą się prace twórców z całego okresu istnienia „SE-MA-FORA": 400 lalek, ok. 300 projektów oraz ok. 200 fotosów. Otwarcie wystawy, której komisarzami są T. Wilkosz i Marian Kiełbaszczak, zaplanowano podczas tegorocznego festiwalu filmów krótkometrażowych w Tampere. W trakcie wystawy (trwającej do maja br.) organizatorzy przewidują również szereg pokazów filmowych, a także pokazów pod hasłem „Jak powstaje film animowany", m.in. w oparciu o doświadczenia z realizacji serii o Muminkach, której — na podstawie bliskiej fińskim odbiorcom książki Tove Jansson — podjął się łódzki producent. Dodajmy jeszcze, że ekspozycja w Tampere (skąd prawdopodobnie wybierze się w odwiedziny do innych miast) jest pierwszą — tak szeroko pomyślaną i realizowaną — ekspozycją dorobku „SE-MA-FORA" w jego długiej historii.

(T. SOL.)

ARCHIWUM KULTURY STUDENCKIEJ

Centralny Ośrodek Informacji i Analiz Studenckiego Ruchu Kulturalnego SZSP zwraca się z prośbą do wszystkich agend i instancji Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, działaczy, animatorów i twórców, sympatyków i osób związanych ze studenckim ruchem artystycznym i kulturalnym o pomoc w uzupełnianiu centralnego archiwum gromadzącego dokumenty dokonań i wszystkich inicjatyw związanych z działalnością kulturalną młodzieży akademickiej na przestrzeni ostatniego 25-lecia.

Przesyłajcie do nas w miarę Waszych możliwości wszelkie dokumenty, materiały, czasopisma, biuletyny, informatory, plakaty, afisze, plakietki własne zapiski, programy dokumentujące Waszą lub Waszych kolegów działalność kulturalną, tak bieżącą, jak i obejmującą lata minione.

Nasz adres: 61-714, Poznań, al. Stalingradzka 26.

LISTY DO REDAKCJI

Jako mieszkaniec Konopnicy w woj. sieradzkim, w której żyję i pracuję z przyjemnością przeczytałem artykuł z 1 nr „Odgłosów" — „Na przykład Konopnica", tym bardziej że autor wyeksponował w nim to wszystko, co dzieje się u nas pozytywnego i twórczego.

Współpracując jednak z Muzeum Ziemi Wieluńskiej, które od lat prowadzi na terenie naszej gminy prace wykopaliskowe, zauważyłem pewną nieścisłość. Zawiera się ona w stwierdzeniu, że średniowieczne dymarki odkryli archeolodzy z Uniwersytetu Łódzkiego.

Jest to nieprawdą, gdyż nie tylko dymarki, ale również bardzo ciekawą ceramikę rodzimą i importowaną, drobiny złota wtopione w skorupki, ozdoby i narzędzia z kamienia, żelaza i brązu wykopał mgr Bogusław Abramek z MZW, a w najbliższych dniach w GOK w Konopnicy zostanie otwarta wystawa pn. „X lat wykopalisk w Konopnicy".

Na etapie ustaleń znajduje się również zorganizowanie w Konopnicy Ogólnopolskiego Sympozjum Naukowego, którego ideą będzie analiza bogatego zbioru eksponatów, uwydatnienie słowiańskiego rodowodu kultury tych ziem i odpowiednie jej rozpowszechnienie.

Dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury w Konopnicy
mgr Zbigniew Adamski

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD LUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPULSKA (redaktor techniczny), stale współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHROSCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-OLANC, JERZY WILMAŃSKI.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

„Gdy tak pochyliłem się na Wasze zaproszenie nad dniem wczorajszym, nawiedziło mnie uczucie jak podczas apelu poległych".

Foto: J. Mendychowski

Kiedy we wrześniu 1945 roku zjechałem do „ziemi obiecanej", ściągnięty przez mego pryncypała na podziemnej rusycystyce, prof. Sergiusza Kułakowskiego (myślałem o przygodzie jednego tylko roku akademickiego, zostałem na życie), Uniwersytet Łódzki z braku innych możliwości lokalowych wypożyczał w godzinach rannych na wykłady sale kinowe, w wieczornych — również sądowe. Rektorat nie był w stanie zaopatrzyć naszego zakładu w krzesła, zatem Kułakowski, klasyczny Cygan, zaproponował odbywanie zajęć w pozycji kucznej na rozesłanych na podłodze gazetach. Jeszcze przez wiele, wiele lat potem, Wyższa Szkoła Plastyczna gnieździła się w jedynej kamienicy przy Narutowicza 77, którą notabene dzieliła z Liceum Technik Plastycznych i wiodła z tymże liceum homeryckie boje o komórkę wielkości metr na metr, o ścianę pod tieszaki na korytarzu, itp. Obie zwaśnione strony wnosiły co chwila na siebie skargi, a to przed „trybunał" Oddziału Szkół Artystycznych Wydziału Kultury PRN m. Łodzi, a to do MKiSz. Obie instancje rozkładały bezradnie ręce, jako że i sam król Salomon też by tylko w tej sytuacji bezradnie rozłożył ręce.

Nie zapomnę dramatycznych tułaczek w początkach lat pięćdziesiątych Państwowej Szkoły Instruktorów Teatrów Ochotniczych, czyli PSITO. Narodzona została z ducha czasu. Duch ów kazał, aby każdy bez mała zakład i instytucja posiadały własny zespół pieśni i tańca, a także nagradzany na przeglądach zespół teatralny. W pewnym momencie PSITO koczowała nawet ze swym sprzętem na klatce schodowej. Wreszcie energiczna dyr. Machejkowa wywalczyła dla niej, z pomocą Wydziału Kultury pałacyk przy al. Kościuszki 33. I tak tam jednak szkoła długo nie zagrzała miejsca, gdyż wnet ją zeń wyrugowała instytucja bardziej ustosunkowana, by zaadaptować budynek na Dom Związków Twórczych. W pierwszych latach, gdy, nie wymeldowany jeszcze ze swego miasta rodzinnego „łodzianin", dzieliłem czas między zajęcia dydaktyczne ze studentami, belferskie z licealistami na Bałutach oraz kibicowanie gwarnemu życiu literackiemu w kawiarni „Fraszka" i w redakcjach tuż nad nią — w pierwszych, powtarzam, latach Miejska Biblioteka Publiczna zajmowała ze swym stłoczonym ponad wszelkie miary księgozbiorem jednopiętrowy budynek przy ul. Andrzeja 14 — gdzie dziś i bibliotece rejonowej jest ciasno. A przecież były to czasy, kiedy biblioteki nowo powstałych uczelni, włącznie z dzisiejszą uniwersytecką, dopiero raczkowały, biblioteki szkolne... szkoda gadać — i budynek przy Andrzeja ze swą niewielką czytelnią musiał obsługiwać — i czynił to z honorem — i całą Łódź intelektualną, i Łódź kształcącą się.

Takie były naówczas warunki pracy placówek naukowych w mieście, które przez szereg jeszcze lat — do czasu odbudowy Warszawy — pełniło, zwłaszcza w dziedzinie kultury i nauki, rolę nieledwie stołeczną. Zaś potem? Pamiętam, jak otwierając — bodaj w 1956 roku — z racji piastowanego urzędu — wspólnie z legendarnym twórcą Łodzi bibliotecznej, doc. J. Augustyniakiem, coś trzydziestą z groszami bibliotekę rejonową przy ul. Marynarskiej, życzyłem dyrektorowi w oficjalnym przemówieniu, żebyśmy się doczekali w jakiejś dalekiej przyszłości otwarcia biblioteki pięćdziesiątej. A jakżeż to już dawno biblioteki miejskie w Łodzi przekroczyły tę magiczną liczbę. Gmachy bibliotek naukowych: Uniwersyteckiej i Waryńskiego należą dziś do najnowocześniejszych w kraju.

A jednak wciąż mi się zdaje, jeszcze nauczycielowi na kompletach tajnego nauczania, że w sprawach szeroko pojętej oświaty, kultury i wychowania wcale nie najważniejsze (choć ważne, wiadomo) są: komfort lokalowy i najnowocześniejsze środki audiowizualne. I znów pochylam się nad początkami łódzkiego trzydziestopięciolecia. We mgle pamięci odnajduję na północ od placu Kościelnego, dokładnie przy ul. Krawieckiej 5, ocalałą wśród ruin i pogorzelisk tej części miasta obskurną czynszówkę. Pogorzelisk. Bo uparcie żyje fałszywa legenda o Łodzi rzekomo przez okupanta nie zniszczonej. W tej cudem ocalałej czynszówce mieściło się w roku szkolnym 1945/46 pierwsze w życiu tej części Łodzi pełnoklasowe liceum ogólnokształcące „dla dzielnicy Bałuty-Doły", jak się ją wtedy nazywało. Liceum opatrzone było numerem XI. Uczącym się i uczonym na Krawieckiej wydawało się, że warunki nauki w tamtych klitkach, z chorymi piecami kaflowymi, z kopcącymi rurzastymi „kozami" — są zupełnie normalne. Gdy po roku czy półtora szkoła przeniosła się do gmachu bernardyńskiego przy Spornej 73, odczuliśmy to jako translokację do nowojorskiego Empire State Building. Patrzę dziś na „drapacz", przejeżdżając czy przechodząc czasem tamtęty i... próżno torturuję pamięć i wyobraźnię, by odbudować w sobie tamto wrażenie. Zwykły, nieco większy budynek. Ileż to dziesiątków obszerniejszych i bardziej monumentalnych gmachów szkolnych pobudowano przez te lata. I niech mi tu wolno będzie w tejże samej mgle odszukać nie istniejące od tak dawna, obstawione byle jak skleconymi bieda-domkami podwórko. Podwórko — wspaniałą agorę, na której ogniskowało się bujne rodzinno-sąsiedzkie życie jakiejś tam cząstki Łodzi. To podwórko blisko Murarskiej, którego dzień jak co dzień dał mojej żonie materiał serdeczny do napisania trzech prawie autobiograficznych powieści, mnie do dwóch. Piętrzą się tu i chmury „smerają", mówiąc po bałucku, cyklopy, czerwonopase mrówkowce. Stoją w poprzek, na ukos, pod wymyślnymi kątami, a ich mieszkańcom wydaje się, że tak już było zawsze. A właściwie nic ich nie obchodzi, co tu było przedtem.

To dygresja. Wróćmy na Krawiecką. Ową „Jedenastkę" dla Bałut-Dołów zorganizował nazajutrz po wojnie jedyny ocalały nauczyciel z grona pedagogicznego przedwojennej szkoły u bernardynów. Dodam, bo to będzie za chwilę istotne, że tamta szkoła była jeszcze rozwojowa i miała dopiero klasy pierwsze. Ów jedyny nauczyciel nazywał się Zenon Kowalski i właśnie wrócił, chory, po niezwykle ciężko przeżytej okupacji. Słowo „zorganizował" nie jest tu zbyt dokładne — bo zorganizował z... Odnaleźli go tamci przedwojenni uczniowie i starsi koledzy uczniów. W koszmarze wojny zdorośleli, zdali chlubnie egzaminy z dojrzałości obywatelskiej, a tylko w naukach szkolnych nic nie postąpili. Nie mieli ku temu w Reichu czy w lesie możliwości. Odnaleźli tedy ocalałego nauczyciela i „uchwalili" wraz z nim powołanie do życia państwowej szkoły. Akty prawne, numer i pomoc w dorekrutowaniu grona dało kuratorium. Odszukanie rozwleczonych przez okupanta sprzętów i pomocy, wyszukanie budynku, oszklenie okien, w ogóle adaptacja — to wkład samej młodzieży. A nieraz i pomoc w sprawach zaopatrzeniowo-opałowych w tamtych, jakże jeszcze twardych, czasach.

Wspomniana przeprowadzka na Sporną odbyła się bez usług przedsiębiorstw transportowych, bez rolwag, krążowników szos, narzutów spedycyjnych, sum zabezpieczonych na paragrafach, itp., itp. Po prostu młodzież i nauczyciele wzięli na plecy ławki, katedry, sztandar, kościotrupa (pomoc do biologii) pod pachę... i przeszła słynna procesja przez pół dzielnicy. Procesja przekazywana ponoć w niedzielnych, „kombatanckich" rozmowach trzeciemu już pokoleniu. Duszą owej „universitas", w której miałem szczęście i zaszczyt uczestniczyć, byli w gronie nauczycielskim: właśnie dyrektor Kowalski oraz profesorostwo Nikołajczukowie. Pani Mieczysława uczyła biologii — entuzjastka i „siłaczka" na miarę bohaterek Żeromskiego, pan Aleksander — owiany sławą najlepszego nauczyciela matematyki w Łodzi, poza tym niezwykle przystojny, do tańca i różańca — nigdy w życiu nie opuścił lekcji, a także nie spóźnił się choćby o sekundę. Zmarł w początkach lat sześćdziesiątych, bo uczył dalej, choć zwaliła mu się na kark sędziwość. Zmarł — śmiercią nauczyciela! Tamtego dnia, gdy szedł do szkoły, czuł się fatalnie. W budynkach szkolnych, jak wiadomo, nie ma wind. W przedwojennych są piętra wysokie i, rzecz jasna, odpowiednio spiętrzone schody. Nie spóźniając się choćby o sekundę minął drzwi wejściowe. Tyle że na drugim podeście schodów... znieruchomiał na zawsze. Poważni nauczyciele nie uwieczniają siebie w pamiętnikach do druku, więc też mało kto już dziś o tym trojgu pamięta. Niedawno zaś niefrasobliwość i zmianomania urzędników oświaty (ulegających miłemu skądinąd złudzeniu, że historia tak naprawdę to zaczyna się od objęcia przez nich stanowiska) prostym pociągnięciem pióra zlikwidowała moją „szkołę dwóch dziewcząt" — jedną z najbardziej zasłużonych placówek oświatowych w dziejach powojennej Łodzi.

Przez dekadę lat pięćdziesiątych przyszło mi zajmować kilka kolejnych krzeseł i foteli w miejskim Wydziale Kultury i Sztuki, zwanym naonczas Wydziałem Kultury PRN m. Łodzi. Na początku owej dekady pewna gorliwa wysoka urzędniczka Wydziału Oświaty uczyła nas na dziedzińcu magistrackim w godzinach przedbiurowych sztuki swobodnego, spontanicznego maszerowania przed zbliżającym się świętem 1 Maja. Ale na ogół skrzywienia minionego okresu omijały najbliższe mi z początku średnie i podstawowe szkolnictwo artystyczne. Prym wiedli w nim pedagodzy z powołania i społecznicy nie ze sloganu, lecz z serca. Nie mogę nie wymienić znakomitych dyrektorów szkół muzycznych: J. Lasockiego, K. Mroszczyka, F. Wesołowskiego, a także młodszego od nich C. Glubińskiego, a i wicedyrektora administracyjnego Liceum Muzycznego W. Iwaszkiewicza (prawdzie nie muzyk, jednak geniusz gospodarności i operatywności). Nie sposób nie wymienić choć takich artystów o znakomitych nazwiskach i wielkim nerwie pedagogicznym, jak p. Z. Kijeńska (przedwojenna założycielka i dyrektorka konserwatorium), M. Wiłkomirska, O. Olgina, F. Paciorkiewicz i in. Jak nie wymienić założyciela Liceum Plastycznego, znakomitego grafika, L. Tyrowicza czy pierwszego dyrektora wspomnianej PSITO, wspaniałego aktora, L. Zbuckiego. Wreszcie wspomnianą już dyr. Z. Machejkową. Objęła PSITO po Zbuckim. Potem, kiedy hasło: W każdym miejscu pracy teatr zakładowy — przestało być modne, modne natomiast stało się dowcipkowanie ze skrótu nazwy szkoły (PSI-TO mięso zjedzą") i szkołę zlikwidowano, ta zakochująca się w swych szkołach do szaleństwa dyrektorka objęła Liceum Technik Plastycznych. Warto tu dodać, że łódzki Ośrodek Metodyczno-Programowy Szkół Artystycznych stał się przodującą placówką tego typu w kraju, a zorganizowana w 1954 roku ogólnopolska konferencja dydaktyczna wizytatorów i nauczycieli wąskich przedmiotów artystycznych była wydarzeniem dużej rangi. Rozpisałem się o tym szkolnictwie, ponieważ nikt o nim jakoś nie pisał. „Szalona galeria" czyli Muzeum Sztuki, i inne miały swoich Długoszy, na czele z dyr. Minichem. O teatrach łódzkich stale coś grubego wpływa do wydawnictw, a potem ukazuje się w księgarniach, a o szkołach artystycznych głucho.

Wróćmy do Wydziału Kultury. Pensje pracownicze wahały się w granicach 450—1000 zł. Naturalnie, dla uzmysłowienia sobie wysokości tych pensji potrzebny byłby jakiś mnożnik, niemniej były to bardzo chude pensyjki. Trzymaliśmy ich wysokości w głębokiej tajemnicy przed „podległymi" dyrektorami instytucji artystycznych i aktywem. Różnice były tak kolosalne, że stracilibyśmy autorytet do cna. I tak delegacja „klasyków" łódzkiej literatury — nb. w charakterze suplikantów — weszła mi kiedyś do gabinetu z czapkami na głowach. No bo przecież do „kolegi niższego stażem" i do tego — „urzędasa". Dziś brakuje w połowie łódzkich instytucji sprzątaczek — bo „nie opłaca się". Dozorców — „a bo to frajer". Służby pomocniczej w szpitalach — „za takie pieniądze".

Moi koledzy z tytułami naukowymi za o ileż mniejsze pieniądze pracowali świątek i piątek. Począwszy od ósma punkt, skończywszy... Nie, godzin pracy się nie normowało. Nieraz była to i „noc głucha", jak mówi łódzka ballada. Pani Zofia Nadratowska, powstaniec warszawski, a przed i po pracownik biblioteczny, została mianowana sekretarzem Komisji Upowszechniania Książki (może niedokładnie podaję tę nazwę, bo pamięć rzecz chimeryczna). Marząca o „książkach pod każdą strzechą" (tyle że zastrzegała się, że to metafora, bo „strzech już — twierdziła ta optymistka, w latach pięćdziesiątych — nie ma") pojmowała swe obowiązki tak, jak je pojmowali Promyk, Pług czy Anczyc. Ją to najczęściej przy pisaniu i szlifowaniu sprawozdań, okólników, odezw, regulaminów konkursów czytelniczych zastawała w wydziale noc głucha. Na powrót do Rudy Pabianickiej, gdzie mieszkała, było już za późno, więc kładła się na chodnik, nakrywała paltem, rano zaś witała nas wchodzących tym samym rzewnym uśmiechem co zawsze i jakby nigdy nic — siadała do dalszej pracy. Nie ustępowała jej w pasji społecznej niezwykle inteligentna i operatywna, zawsze pogodna Danuta Chybowiczowa. Zabraliśmy ją trochę przez siłę dyr. Minichowi, jako że wpierw była duszą działu oświatowego Muzeum Sztuki. Za mało jej było... pracy w wydziale, więc z amatorstwa, za to z iście makarenkowskimi wynikami prowadziła na dalekich peryferiach, w Olechowie, świetlicę dla młodzieży nie zorganizowanej. A w Referacie Bibliotek niezawodne pracownice — pp. B. Durajowa i Z. Rudnicka. A w Oddziale Upowszechniania p. Helena Amanowicz. A w Dziale Odczytowym młody, zdyscyplinowany i też zawsze pogodny Bernard Sztajnert (niebawem błysnął świetnymi wierszami i po sukcesie również wydziału, jakim było powołanie do życia oficyny łódzkiej, wydał swój pierwszy tom „Chwila ahistoryczna").

Iluż oddanych pracowników krzywdzę w tej chwili niewymienieniem! Zespół był nie tylko koordynatorem i animatorem czegoś tak nie pochwytnego dla sumarycznych ujęć i sprawozdań, jak dzień powszedni — czasem tylko i świąteczny — łódzkiej kultury w trudnym bądź co bądź mieście. Nie tylko, bo przyłożył się — w wielu wypadkach nawet walnie — do przysporzenia Kominogrodowi również wartości trwałych. I tak wspólnie z wojewódzkim konserwatorem, Z. Cieklińskim, spowodował nadanie szeregowi bezkarnie, a nawet z aprobatą obtłukiwanych pałacyków oraz miejsc nader istotnych dla pamięci narodowej — statusu zabytków. Doprowadził do przejścia gmachu historycznej „Białej fabryki" Geyera w gestię MKiSz i stworzenia Muzeum Włókienniczego. Do uporządkowania i nadania obecnego wystroju zgliszczom tragicznej fabryki na Radogoszczu i uczynienia z niej mauzoleum. Zespół szeregowi inicjatyw nadał ruch. Popychały je i popychają kolejne zespoły późniejsze, dla których tamten nasz jest od niepamiętnych czasów magmą bezimienną, czymś w rodzaju warstwy kredowców. Niektóre inicjatywy — jak pomnik Reymonta — po latach sfinalizowano, inne — jak Galeria Sztuki, nadal spadają z planów.

Niedobrym zwyczajem jest anonimowość współczesnego życia i inicjatyw. Kto dziś pamięta, że niespodziane odnalezienie w składzie magistrackim przez pracowników wydziału trzech ocalałych tablic z pomnika Kościuszki zachęciło władze partyjne i administracyjne do wznowienia zaniechanej na jakimś etapie sprawy odbudowy monumentu Naczelnika. Kto wie i pamięta, że np. sekretarzem Komitetu Odbudowy tego pomnika była znana poetka, Anna Pogonowska? Inny przykład: człowiekiem, który przełamał wszystkie obiektywne i subiektywne przeszkody i doprowadził, w jak nie sprzyjającym momencie, do skutku wstrzymaną na całe lata po pierwszych słomianych ogniach budowę Opery Łódzkiej, czyli, jak się wtedy inwestycję nazywało, Teatru Narodowego, był ówczesny przewodniczący, w dzisiejszej terminologii — prezydent miasta, Bolesław Geraga. Kiedy jednak urządzono wielką galówkę na otwarcie opery w oddanym wreszcie do użytku gmachu, Geraga, o ile wiem, zaproszony nie został ponieważ w tzw. międzyczasie przestał być prezydentem. Podobnym, pozornie tylko odwrotnym, zjawiskiem jest niechęć do przekazywania potomnym konkretnych nazwisk. Czy byłoby do pomyślenia — już nie w ubiegłych wiekach, nie dwadzieścia kilka lat temu wmurowanie pamiątkowej tablicy z racji ukończenia ważnej inwestycji bez nazwiska projektanta oraz osób sprawujących w danym momencie najwyższe urzędy. A proszę porównać tablicę z okazji otwarcia łódzkiej Trasy W-Z z analogiczną tablicą sprzed nie tak wielu lat w stolicy, z okazji otwarcia warszawskiej Trasy W-Z.

Gdy tak pochyliłem się na Wasze zaproszenie nad dniem wczorajszym, nawiedziło mnie uczucie, jak podczas apelu poległych. Wynurzają się na brzeg pamięci dawne twarze, drgają, jak do płaczu, usta, które nigdy się już nie poruszą. Oto dyrektor Aleksander Fuchs, twórca i pierwszy szef łódzkiego KMPiK, niestrudzony organizator licznych imprez literackich, w tym — wraz z Wydziałem Kultury — jubileuszów zasłużonych pisarzy: Słobodnika, Piechala, Piętaka, Czernika. Dyrektor Fuchs należał do tego wymierającego dziś gatunku pracowników książki, którzy żywią autentyczny kult dla słowa pisarskiego i sentyment, jeśli nie uczucia wyższego rzędu, dla jego twórców. Fuchs czytał każdą naszą nową książkę. Wyławiał je spośród nowości (nawet, jeśli to było parę wierszy w antologii czy w wyborze przekładów), umieszczał niezmiennie w witrynie anons, książkę rozchyloną na wierszu, który uważał za szczególnie reprezentatywny, często z dodatkiem fotografii, wiązanki kwiatów itp. Oto Czesław Sadowski — świetny malarz i zapalony, pełen ustawicznych inicjatyw działacz na niwie kultury i radny miejski. Wspominam, może najczęściej, dyrektora WŁ, Aleksandra Postołowa, niezwykle inteligentnego oceniacza wartości i niedowartości wpływających książek, jednego z najlepszych ludzi, z jakimi się w życiu zetknąłem. Myślę o nie odżałowanym Stanisławie Czerniku i o Sztaudyngerze. Ale o nich pisałem na tych szpaltach nieraz.

Stało się, jak przeczuwałem na wstępie: człowiek na stare lata dobrze mówi tylko o starym, na nowym zaś nie zostawia suchej nitki. Więc próba wytłumaczenia: z biegiem lat człowiek tak jakby trochę odstawał od życia. Zna wprawdzie jeszcze ludzi sporo, ale dają o sobie znać bariery pokoleniowe. Poza tym spotyka ich raczej w chwilach oficjalnych, powiedzmy, „zebraniościowych", jak się wyraził dziś w wywiadzie telewizyjnym pewien racjonalizator „na zakładzie". Są to więc ludzie jakby zza mgły. Niewyraziści albo wyraziści, ale nieco na pokaz, jak w pozach do portretów Matejki. Z ludźmi nie na pokaz wyrazistymi — o, jeszcze jak wyrazistymi! — człowiek nie za młody spotyka się na ulicach bezustanku.

Kiedy wspomniałem o pani Nadratowskiej, przyszło mi na myśl dwoje młodych ludzi siedzących wraz ze mną w pokoju w instytucji, w której jeszcze pracuję. Ci też nigdy nie patrzą na zegarki, nie urywają się. Ślęczą nad przygotowywaniem do druku cudzych maszynopisów. Siedzą nieraz do późna. Czują się nie urzędnikami, lecz działaczami przysparzającymi kulturze dóbr trwałych. Przyszedł mi na myśl red. Tadeusz Stefaniak, niedawno tragicznie zmarły organizator „Wiosen Poezji". Znam w Sieradzu pełnych inicjatywy i ciekawych pomysłów, zapału młodych ludzi, pracowników Wojewódzkiego Domu Kultury, prowadzących poza tym klub literacki. To samo mogę powiedzieć o kierownictwie piotrkowskiego klubu „U Bony". Patrzyłem niedawno na pracowników Wydziału Kultury Łódź-Bałuty, zajętych organizacją Dni Bałut i oczy mi się śmiały...

Kaci i ofiara — jeszcze żywa.

Dalszy ciąg ze str. 1

szerzone więzienie policyjne, które jednorazowo mogło przyjąć ledwie dwa tysiące osób — Radogoszcz — było tylko maleńkim kółkiem na mapie. Ale dla uwięzionych za murami dawnej fabryki Abbego niewolników, było to przedproże piekła. Radogoszcz był więzieniem niewielkim, ale przepustowym, a najkrótsza droga za mury wiodła do lućmierskich lasów, albo do wozu pogrzebowego „Przedsiębiorstwa Transportowego F. Krieger i Spółka". Jeden z grabarzy, który przyjeżdżał odbierać karawanem zwłoki zeznał później, na procesie Waltera Pelzhausena, że tylko w roku 1942 firma wywiozła ciała blisko dwóch tysięcy więźniów. Jednym tylko furgonem.

W Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich przechowywane są grube tomy akt Sądu Okręgowego w Łodzi z roku 1947, oznaczone sygnaturą nr XIV Ds 3885/47. Z suchych protokółów śledztwa i procesu komendanta Radogoszcza wyziera przerażająca prawda o łódzkiej katowni, przez którą w ciągu lat okupacji przeszło pięćdziesiąt tysięcy Polaków. Trzydzieści tysięcy z nich, są to oczywiście liczby przybliżone, nie doczekało wolności. Pełnej prawdy nie poznamy już nigdy, jak nie poznamy nazwisk ofiar ostatniej zbrodni Pelzhausena, których ciała strawił ogień. Z dwóch tysięcy więźniów, zasłuchanych w odgłosy zbliżającego się frontu, ocalało ledwie dwudziestu paru niedobitków, którzy cudem uniknęli kuli, odłamka granatu i ogarniających wszystko płomieni. Tej nocy, z siedemnastego na osiemnasty stycznia 1945 roku, nie jest zdolny oddać żaden opis. Język, którym posługuje się człowiek przy wyrażaniu najbardziej skomplikowanych uczuć, okazuje się narzędziem topornym, kiedy przychodzi oddać krzyk ostateczny dochodzący z płomieni. Co myśleli, co czuli ci, najczęściej nieznani z nazwiska, ludzie, kiedy otoczyła ich ciasna ściana palącego ognia? Czy mieli chociaż świadomość, że ofiara ich życia nie będzie nadaremna? I że nasza pamięć odrodzi ich z popiołów?

Ulicą Zgierską pędzą dziś kolumny samochodów, ocierając się niemal o mur dawnego radogoskiego więzienia. Szóstego stycznia 1940 roku na wewnętrzny dziedziniec, szczelnie odgrodzony od ulicy, wprowadzono pierwsze kolumny więźniów. Było ich, tego pamiętnego dla dziejów Łodzi dnia, blisko 800. Ujrzeli trzypiętrowy korpus zamienionej na więzienie fabryki, niską halę zabudowań gospodarczych z szedowym dachem przypominającym przewrócone schody, a pośrodku tego górujący nad wszystkim komin. W pobliżu muru oddzielającego więzienie od Zgierskiej był wygrodzony drutem kolczastym kojec, miejsce upokarzających apeli i zadawania wymyślnych tortur. Na co dzień policyjna załoga Radogoszcza zadowala się mniej wyrafinowanymi zabawami: w ciągłym użyciu były bykowce, gumowe, a nawet metalowe rurki, albo pejcze. Jeśli ktoś znajdował się na końcu kolumny więźniów i na komendę „drei" nie zdążył przecisnąć się przez wąskie drzwi do głównego budynku, spadały na niego razy nierzadko kończące się śmiercią.

W lipcu 1940 roku tymczasowego komendanta SS zastąpił porucznik policji Walter Pelzhausen, z zawodu szlifierz diamentów. Jeśli dotychczas Radogoszcz był dla uwięzionych Polaków przedprożem piekła, to Pelzhausen potrafił przekształcić więzienie w piekło prawdziwe. W życiorysie, jaki napisał po wojnie w amerykańskim więzieniu, na krótko przed ekstradycją do Polski, swoją działalność w Radogoszczu przedstawił więcej niż skromnie: „Krótko po wybuchu wojny zostałem odkomendowany do Warthegau (Litzmannstadt). Tutaj pełniłem służbę policyjną do 15 stycznia 1945 roku, to jest do dnia odmarszu i zostałem zatrudniony w szkole policyjnej Drezno—Hellerau i zarządzie policji we Frankfurcie".

Pomijając to, że Walter Pelzhausen swoją zbrodniczą działalność nazywa eufemistycznie „służbą policyjną", warto zwrócić uwagę na jeszcze jedną istotną okoliczność. Chodzi o datę ucieczki z Łodzi, którą podaje jako piętnasty stycznia 1945 r. Chce w ten sposób zrzucić z siebie odpowiedzialność za zbrodnię ostatnią, za tę tragiczną noc przed wyzwoleniem, która przyniosła z jego ręki śmierć dwóm tysiącom ludzi. Na procesie, nie patrząc w oczy ofiarom, które cudem uniknęły masakry, zarzucał im pomówienie, bo zeznawały jednomyślnie, że kierował akcją likwidacji więzienia i zacierania dowodów zbrodni. Jakże to przypomina taktykę sądzonych dzisiaj w RFN zbrodniarzy hitlerowskich, którzy różnymi niedozwolonymi metodami usiłują zakwestionować prawdomówność świadków. Ale polski prokurator przygwoździł Pelzhausena jego własnym podpisem, przedstawiając mu druczek zwolnienia z więzienia, datowany siedemnastego stycznia 1945 r. Świadczyć to może o tym, że decyzja likwidacji wszystkich więźniów została podjęta w ostatniej chwili, kiedy szybko zbliżająca się ofensywa wojsk radzieckich udaremniała deportację skazańców do Rzeszy. Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden moment charakterystyczny dla taktyki obrony wszystkich zbrodniarzy hitlerowskich. W procesie Pelzhausena występował jako świadek sprowadzony z więzienia generał policji Walter Kueck, a więc przełożony komendanta Radogoszcza. Scharakteryzował on swego podwładnego jako „statecznego urzędnika policji, obdarzonego dużą wiedzą i nie mniejszym doświadczeniem".

Ten „stateczny", trzymając się określenia Kuecka, oprawca, dobrał sobie godnych go współpracowników. W pamięci więźniów Radogoszcza zapisał się szczególnym okrucieństwem łódzki volksdeutsch Josef Heinrich, nazywany „Józiem". W pomysłowości konkurował z innym oprawcą, Reinholdem Zachertem. Częstą rozrywką tych panów było strzelanie do więźniów na oczach pijanych prostytutek. Nie dziwmy się, że po takich rozrywkach furgony firmy „F. Krieger i Spółka" nie próżnowały.

Aby umilić tęskniącym do Vaterlandu wachmanów szarzyznę policyjnej służby Heinrich wprowadził obowiązkowy „chrzest", któremu poddawani byli nowo przybyli więźniowie. Polegał on na katowaniu bykowcami ofiary, której głowę zanurzano w beczce z wodą.

Wodną torturę stosowano także w stosunku do tych więźniów, którzy czymś narazili się wachmanom, a to nie było takie trudne, albo w celu wymuszenia zeznań — czym zajmowało się gestapo. Na dziedzińcu zbudowano specjalne urządzenie, noszące w więziennym języku nazwę kaźń. Był to po prostu ocementowany dół ze specjalnym daszkiem i drewnianymi podpórkami. Unieruchomioną ofiarę zanurzano w specjalnie napuszczonej wodzie. Jeden z więźniów zezna potem: „Nie wiem o tym, by kogoś utopiono w ten sposób. Natomiast wiem o tym, że z więźniów, którzy przeszli przez kaźń — żaden nie wrócił na celę".

KRZYK OSTATECZNY

Styczeń 1945 — w poszukiwaniu ciał swych bliskich

STANISŁAW

KRYPTONIM

BĄKOWICZ

Senną ciszę majowego wieczoru przerwał pomruk silników. Po chwili nad horyzontem pojawiła się niewyraźna sylwetka ledwo majaczącego w ciemności samolotu, który zniżył lot i zatoczył duży krąg nad wyłaniającą się spośród wysokich sosen i świerków polaną. Pilot zmniejszył obroty silników i naprowadził maszynę wprost na wyłaniającą się z mgły wolną przestrzeń między drzewami. W tym momencie za ogonem samolotu wykwitła biała czasza spadochronu za nią druga, trzecia i następne...

Lotnik zatoczył jeszcze jedno koło nad polaną, jak gdyby chciał sprawdzić czy wszystko w porządku i nagle dodał gazu podrywając do góry samolot, który zaczął oddalać się w kierunku wschodnim. Po kilku minutach słabnący z każdą chwilą odgłos pracujących motorów zaczął zamierać, aż rozpłynął się zupełnie w ciszy leśnej...

Bezszelestnie szybujące w spokojnym powietrzu spadochrony opadały coraz niżej, kolejno znikając za ścianą drzew i tylko głuche uderzenia butów lądujących na ziemi skoczków przerywały spokój wiosennej nocy. Każdy z nich natychmiast odpinał szelki spadochronu, błyskawicznie go zwijał i znikał w leśnej gęstwinie. Wkrótce i te odgłosy ucichły, nad polaną zapanowała cisza przerywana jedynie głosami budzącego się ze snu ptactwa...

Wydarzenie to miało miejsce w maju 1944 r. w okolicach Duninowa i Lipianki koło Gostynina, gdzie została zrzucona 12-osobowa grupa żołnierzy radzieckiego wywiadu. W jej skład wchodzili: dowódca — ps. „Grisza", jego zastępcy: ps. „Szaszka" i Polak — Bolesław Koprowski, oficer polityczny spod Lwowa — ps. „Roman", drugi oficer polityczny — ps. „Wiktor", radiotelegrafistka Ludmiła (nazwisko nieznane) — ps. „Natasza" oraz wywiadowcy o pseudonimach: „Wiktor Duży", „Wiktor Mały", „Janek", „Mikołaj" oraz „Borys", „Jurek" i „Orlik".

Pododdział ten posługiwał się kryptonimem „Jarowoj" i podlegał centrali kierowanej przez płk „Biełowa" — stacjonującej wówczas w Brześciu n. Bugiem. Tam właśnie trafiały zaszyfrowane meldunki nadawane drogą radiową przez „Nataszę".

Już od pierwszych dni działalności radzieckiej siatki wywiadowczej rozpoczął z nią współpracę polski ruch oporu oraz ludność zamieszkująca wsie w okolicach Gostynina, a głównie Lipianki, Kobyle Błota, Gerań, Gorzewo, Pagórek, Bierzewice, Duninów i inne. Dzięki temu centrala w Brześciu otrzymywała szczegółowe informacje o lokalizacji i przemieszczaniu się wojsk niemieckich, dane dotyczące przygotowywanych i budowanych przez okupanta umocnień polowych i obiektów militarnych, a także sygnały o nastrojach wśród miejscowych Niemców. Wspólnym sukcesem radzieckich wywiadowców i współdziałających z nimi Polaków było np. odnalezienie i zbadanie niewypału rakiety (przypuszczalnie chodziło o V-1), która spadła w pobliżu wsi Kazimierzów koło Lucienia i była gorączkowo poszukiwana przez hitlerowskie wojsko i policję.

Sprawna działalność grupy wywiadowczej w znacznej mierze była zasługą B. Koprowskiego, który jako Polak, nie budząc większej podejrzliwości Niemców, mógł poruszać się po okolicznych miejscowościach, zbierać potrzebne informacje i utrzymywać łączność z okoliczną ludnością współpracującą z radzieckimi skoczkami i dostarczającą im żywność, odzież, lekarstwa, baterie do radiostacji oraz przewodników. Cenne wiadomości mogły więc każdej doby, o określonej porze docierać do płk „Biełowa".

Pracująca od kilku miesięcy, dosłownie pod bokiem Niemców, radiostacja została w końcu dokładnie zlokalizowana. Żandarmeria i policjanci z Gostynina znając miejsce pobytu wywiadowców okrążyli ich kryjówkę. Żołnierzom radzieckim udało się jednak bez strat własnych przedrzeć przez niemiecki kordon i dzięki dobrej znajomości terenu jaką miał B. Koprowski — zbiec lasami w okolice wsi Lipianki. Tam zupełnie przypadkowo grupa natknęła się na robotnika leśnego — Stanisława Aftowicza, który obiecał pomóc wywiadowcom pozbawionym zupełnie kontaktów na nowym terenie. Przede wszystkim dostarczył on im żywność, a następnie drewno i narzędzia niezbędne do budowy ziemianki.

Wkrótce wspólnymi siłami urządzono wygodne schronienie, doskonale zamaskowane przed wrogiem w gęstym zagajniku. Wywiadowcy mogli więc znów rozpocząć normalną działalność i kolejne meldunki popłynęły drogą radiową do Brześcia. Centrala zaniepokoiła się jednak dekonspiracją siatki wywiadowczej, bowiem na rozkaz płk „Biełowa" podzielono ją na dwie mniejsze grupy. Zgodnie z poleceniem dowództwa sześciu czerwonoarmistów udało się w lasy, w okolice Końskich, a Natasza oraz czterej Rosjanie pozostali na miejscu. Dowództwo tej grupy powierzono B. Koprowskiemu. Później w skład tej jednostki weszło jeszcze kilku Polaków: por. Tadeusz Kwiatkowski, Jan Kłosiński oraz mężczyzna o nazwisku Koza i nieznanym imieniu.

Wśród informacji przekazywanych do centrali przez „Nataszę" bardzo ważną pozycję stanowiły dane dotyczące kierunków i rodzajów niemieckich transportów wojskowych przejeżdżających przez stacje kolejowe w Kutnie i Płocku. Wywiadowcom radzieckim zadanie to ułatwiała niezwykle cenna pomoc ze strony 20-letniego Mieczysława — syna St. Aftowicza, wciągniętego do współpracy z nimi. Miał on stały bilet umożliwiający mu bezpieczne i swobodne poruszanie się w rejonie węzłów kolejowych Kutna i Płocka. Cenne informacje uzyskiwał od kolejarzy i kelnerki z bufetu dworcowego w Kutnie.

Ten odcinek współpracy Polaków z radzieckim wywiadem udało mi się odtworzyć dokładniej dzięki materiałom dostarczonym przez Mieczysława Ostrowskiego — mieszkańca Kutna. Z jego relacji wynika, że w chwili objęcia bufetu kolejowego w tym mieście przez Niemca Zauermanna, zatrudniono w nim same Polki, które z wyjątkiem jednej, były osobami godnymi pełnego zaufania.

— *Od 1940 r.* — wspomina M. Ostrowski — *dostarczałem do bufetu kolejowego piwo i lemoniadę z firmy Fr. Bettin. Kiedy otrzymałem polecenie nawiązania współpracy z kimś pewnym i zatrudnionym na dworcu kolejowym. Mój wybór padł na kelnerkę — Zofię Warmińską, która pomagała mi od czasu do czasu dostarczając kartki na chleb i bułki, dzięki czemu mogłem jakoś przeżyć. Była to kobieta inteligentna i gorąca patriotka. Mogłem więc bez żadnej obawy powierzyć jej polecenie przekazane mi przez polski ruch oporu. Jednym z pierwszych zadań, jakie ode mnie otrzymała, było liczenie ilości pociągów z wojskiem i sprzętem bojowym przejeżdżających przez Kutno. Aby nie zwracać na siebie uwagi niemieckich szefów, za moją radą, po przejeździe każdego transportu, wkładała do kieszeni fartucha jeden kapsel od butelki. Wkrótce też znalazła sobie pomocnicę — Kazimierę Szewczyk, która „zastępowała" ją w dni wolne od pracy.*

Natomiast wojskowe transporty samochodowe i cały ruch na tranzytowej szosie przebiegającej przez Kutno obserwował nieznany mi z nazwiska kolejarz ze wsi Azory.

Dane liczbowe „Zosia", bo taki pseudonim daliśmy Warmińskiej, przekazywała mi osobiście, natomiast wiadomości od kolejarzy z Azorów zbierał Jankowski ps. „Skrzetuski". Naszą działalność zaczęliśmy jeszcze przed napaścią Niemiec hitlerowskich na ZSRR. Wtedy zbiorczo opracowaną informację przekazałem Stanisławowi Marężowi z Warszawy.

Po zaatakowaniu ZSRR „Zosia" otrzymała drugie polecenie: wymiany pieniędzy radzieckich na marki. Sprawa ta miała ważne znaczenie, ponieważ na zapleczu frontu było wielu żołnierzy Armii Czerwonej walczących z Niemcami.

Już po mojej ucieczce do Generalnej Guberni dowiedziałem się od Jankowskiego, którego spotkałem w Warszawie, że Z. Warmińska była łączniczką radzieckich wywiadowców ukrywających się w lasach gostynińskich i duninowskich. Niezależnie od informacji dostarczała ona im również żywność i pieniądze.

Gdy wojska Armii Czerwonej wyzwalając kolejne ziemie polskie zbliżały się do Warszawy „Zosia" na polecenie Jankowskiego przekazała działającej w okolicach Duninowa siatce radzieckiego wywiadu szczegółowy plan okopów i umocnień zbudowanych przez Niemców w rejonie Gostynina i Kutna.

Pod koniec 1944 r. grupa Polaków współpracująca z radzieckimi wywiadowcami została rozszyfrowana przez Niemców. Nastąpiły liczne aresztowania. W łódzkim więzieniu osadzony

Nie wracali też ci, którzy trafili do izby chorych, której szafarzem był volksdeutsch Matthäus. Wielu z tych, którzy trafili do szpitala „Mateusza" umierało śmiercią głodową, gdyż Matthäus zabraniał podawania im żywności. Chorym dokuczało także zimno, gdyż pod pretekstem dezynfekcji odbierano im ubrania. Jeśli wbrew wysiłkom „Mateusza" więzień nie umierał, to samozwańczy Arzt w białym kitlu starał się go dobić laską, która stanowiła symbol jego władzy i podstawowy instrument medyczny.

Przedstawiam tu tylko kilka sylwetek oprawców, ale trzeba pamiętać, że z blisko sześćdziesięciu funkcjonariuszy policji niemieckiej zatrudnionych w Radogoszczu, żaden nie zasłużył sobie na miano człowieka. Ich chlebem codziennym były mordy, bestialstwo, brutalne okradanie więźniów z głodowych racji żywnościowych, wyłudzanie łapówek od rodzin skazańców. Symbolem tych Niemców był skromny porucznik Walter Pelzhausen, chodzący w wiecznie zakrwawionych butach i pastwiący się nie tylko nad więźniami, bo często, choć nie tak brutalnie, bijał także własną, zalęknioną żonę. Nie przeszkodziło to wszakże Frau Pelzhausen zwrócić się do „Najwyższego Trybunału Narodowego" w Polsce z prośbą o łaskę dla współmałżonka, którego przedstawiła jako łagodnego człowieka, niezdolnego do wyrządzenia komukolwiek krzywdy.

Siedemnastego stycznia 1945 roku, kiedy od wschodu niósł się narastający huk armat, poszerzona o kilkunastu SS-manów i hitlerowskich lotników załoga Radogoszcza przygotowała się do ostatecznej rozprawy z więźniami. Nocą oprawcy wkroczyli do cel i rozpoczęli masakrę. Likwidowano ludzi kondygnacjami. Najpierw wymordowano wszystkich na parterze. Potem zaczęto wypędzać więźniów z trzeciego piętra, siekąc ich ogniem karabinów maszynowych. Szeregi skazańców cofnęły się. Chyba po raz pierwszy nie wykonano rozkazu wachmanów. Pelzhausen posłał Heinricha na drugie piętro. Wkrótce rozległy się tam strzały. Wtedy zdziesiątkowanych więźniów z drugiej kondygnacji spędzono na pierwsze piętro. Nie wszyscy posłuchali. Najbardziej zdeterminowani rzucili się na oprawców.

Pelzhausen śpieszył się. Szybkie zlikwidowanie blisko dwu tysięcy ludzi okazało się niemożliwe, sięgnięto więc po metody wypróbowane z powodzeniem w akcjach pacyfikacyjnych. Nad ranem, osiemnastego stycznia 1945 roku, na parterze więzienia rozległy się wybuchy granatów. Główny korpus więzienia stanął w ogniu. Więźniów, którzy skakali z okien na dziedziniec, unikając śmierci w płomieniach, dobijały salwy z broni maszynowej. Stateczny urzędnik policyjny wiedział, gdzie należy rozstawić karabiny. Zgodnie z jego planem nie powinien ocaleć ani jeden świadek zbrodni.

Kiedy przerzedziły się płomienie, policjanci, SS-mani i lotnicy dobijali wystrzałami rannych i tych, którzy udawali martwych. Z niemiecką skrupulatnością penetrowano wypalone pomieszczenia. Z masakry uszli cało tylko ci więźniowie, którzy skryli się w rezerwuarze z wodą i garstka szczęśliwców, którym przez dach udało się przedostać do kuchni, gdzie ukryli się pod stosem warzyw.

Kiedy dziewiętnastego stycznia 1945 roku radzieckie czołgi dotarły do wypalonej fabryki Abbego, ze zgliszcz wypełzło kilkunastu słaniających się ludzi. Rzadko który mógł iść o własnych siłach. Radzieccy sanitariusze zabierali ich na nosze i przewozili do szpitali.

Czas oddalił wydarzenia tamtego piątku, który kojarzy się z dniem wyzwolenia, kiedy radość zwarzył ból po odkryciu tragedii Radogoszcza. Ten ból do nas wraca, stał się składnikiem naszej pamięci, wspólnej pamięci, gdy coraz mniej już żyjących świadków ocalałych w ogniu. Krzyk ostateczny pomordowanych wraca do nas w każdą rocznicę tamtych dni. Spowszednienie jest wrogiem pamięci, ale nasza pamięć jest od niego silniejsza.

KONRAD FREJDLICH

Zdjęcia z Archiwum Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi

Styczeń 1945 — wypalona fabryka śmierci

Styczeń 1945 — dzień pogrzebu

Dalszy ciąg ze str. 1

mią 1 Frontu Białoruskiego rozpoczęła natarcie w kierunku na Modlin.

Z przyczółków: magnuszewskiego i puławskiego siły główne wojsk 1 Frontu Białoruskiego, dowodzone przez marszałka Georgija Żukowa, przeszły do natarcia na kierunku na Łódź i Poznań. Warunki meteorologiczne nie były korzystne. Gęsta mgła, unosząca się w dolinach Wisły i Pilicy, ograniczała widoczność do 300—400 m i bardzo utrudniała obserwację wybuchów pocisków artylerii oraz działań piechoty i czołgów na polu walki. Pomimo tego, po 25-minutowym artyleryjskim przygotowaniu, czołowe bataliony wyruszyły do natarcia. Możliwe to było dzięki temu, że w artyleryjskim przygotowaniu wzięło udział jednocześnie kilka tysięcy dział i moździerzy, tworząc przeciętną gęstość 230-25 luf na 1 km frontu. Potężna nawała ogniowa zniszczyła wiele niemieckich gniazd oporu.

61 Armii z niemieckimi oddziałami broniącymi się w rejonie Warki.

Interesowała nas również sytuacja na północy od Warszawy, na prawym skrzydle 1 Frontu Białoruskiego w pasie natarcia 47 Armii, która miała we współdziałaniu z 70 Armią 2 Frontu Białoruskiego oskrzydlić Warszawę od północy.

Szybko minął dzień 14 stycznia, pełen przeżyć i wrażeń. Późnym wieczorem dowiedzieliśmy się, że wojska 1 Frontu Białoruskiego przełamały niemiecką obronę na odcinku o szerokości do 55 km i głębokości 12—18 km. Stworzono warunki do wprowadzenia do bitwy 1 i 2 Armii Pancernej gwardii, które miały zmiażdżyć resztki niemieckiego oporu i ruszyć w kierunku Poznania i Odry. Na północ od Warszawy, za Bugo-Narwią wojska 2 Frontu Białoruskiego głęboko włamały się w obronę nieprzyjaciela i powoli posuwały się w kierunku Mławy i Ciechanowa. Niemcy bronili się tam zaciekle Mieli na Mazurach i w Prusach Wschodnich znacznie, więcej

RUSZYŁA OFENSYWA

Tylko czołowe bataliony 61 Armii, działającej na prawym skrzydle przyczółka magnuszewskiego, początkowo nie miały powodzenia. Nie zdołały sforsować zamarzniętej Pilicy i przełamać niemieckiej obrony, ponieważ podczas 25-minutowego artyleryjskiego przygotowania nie zniszczono niemieckiego systemu obronnego. Dowódca Frontu polecił przedłużyć artyleryjskie przygotowanie do 155 minut. Wzięły w nim udział dwie (1 BAC i 2 BAH) polskie brygady artylerii, wchodzące w skład artylerii 89 Korpusu armijnego i 9 Korpusu gwardii. Polskie brygady artylerii wystrzelały wówczas razem ponad 11.000 pocisków do przewiezienia których potrzeba było 22 wagonów kolejowych, natomiast cała artyleria 61 Armii wystrzelała ogółem w czasie drugiego artyleryjskiego przygotowania prawie 329.000 pocisków, czyli ponad 12 dużych transportów kolejowych amunicji.

Niepomyślna sytuacja w pasie natarcia 61 Armii w dniu 14 stycznia 1945 roku była przedmiotem naszego szczegółowego zainteresowania. Od powodzenia w forsowaniu Pilicy i Wisły zależało bowiem wprowadzenie sił głównych 1 AWP do bitwy w celu wyzwolenia Warszawy. Ze wzmożoną uwagą śledziliśmy zmagania wojsk wojsk niż na kierunku Warszawa — Poznań — Berlin.

Wykorzystując dogodną sytuację na południu Polski, wojska 1 Frontu Ukraińskiego w ciągu trzech dni ofensywy całkowicie rozgromiły 4 niemiecką armię pancerną. 3 i 4 Armie Pancerne oraz dwa samodzielne korpusy pancerne, pokonując słaby opór nieprzyjaciela, parły w kierunku Kielc. Jędrzejowa i Częstochowy. W tym czasie 59 i 60 Armie nacierały w kierunku Krakowa.

14 stycznia 1945 roku, wojska radzieckie na ponad 600-kilometrowym froncie, od Niemna do Krakowa, całkowicie zdruzgotały niemiecką obronę. Radziecka metoda kolejnego przechodzenia do natarcia poszczególnych Frontów i Armii na różnych kierunkach kompletnie zdezorganizowała system niemieckiego dowodzenia oraz spowodowała chaos w szeregach wroga. Uniemożliwiono wojskom niemieckim dokonywanie jakichkolwiek przegrupowań i zmuszono do przedwczesnego użycia wszystkich odwodów i rezerw. Po trzech dniach ofensywy zimowej zostały stworzone warunki do szybkiego wyzwolenia Warszawy.

LEON DUBICKI

„JAROWOJ"

Mimo 34-letniego pobytu w Jugosławii doskonale jeszcze mówi i pisze po polsku, podobnie zresztą jak jej syn, urodzony już i wychowany poza granicami naszego kraju.

Z radzieckimi wywiadowcami współpracowała także córka wspomnianego wyżej St. Aftowicza — 21-letnia Irena oraz jego brat — Franciszek, który dostarczał grupie żywność „wygospodarowując" nadwyżki mąki i kaszy od właściciela młyna, Niemca, u którego był zatrudniony, w miejscowości Bierzewice.

Daleko idącej pomocy, często z narażeniem życia, udzielali radzieckim żołnierzom również członkowie innych rodzin, m.in. Dulskich, Michalskich, Ciszewskich, Sławińskich, Kwiatkowskich, Rzepnikowskich, Zarębów, Paczyńskich, Nowackich i Gralusów.

Radziecka grupa „Jarowoj" działała sprawnie i skutecznie tuż pod bokiem Niemców aż do jesieni 1944 r. 30 września tegoż roku ziemiankę wywiadowców przypadkowo odkrył niemiecki myśliwy, który wybrał się na polowanie na lisy. Udając, że nic nie spostrzegł, wycofał się z pola widzenia obserwujących go żołnierzy radzieckich i goszczących u nich Polaków i natychmiast udał się do Gostynina, gdzie przekazał meldunek hitlerowcom.

Następnego dnia o godz. 6 rano, na niczego nie spodziewających się wywiadowców zorganizowano wielką obławę. Około 500 żandarmów i policjantów oraz miejscowych uzbrojonych volksdeutschów otoczyło kryjówkę czerwonoarmistów. W nierównej walce giną na miejscu wywiadowcy radzieccy: „Jurek", „Borys" i „Orlik" oraz Polacy: por. Tadeusz Kwiatkowski i Jan Kłosiński. Koza zostaje schwytany i dostaje się do niewoli.

W tym czasie „Natasza" wraz z jednym z wywiadowców radzieckich oraz B. Koprowskim przebywała w domu St. Aftowicza, skąd wieczorem poprzedniego dnia nadawała kolejny meldunek do centrali. Grupie tej, w porę ostrzeżonej przez łączników, udało się szczęśliwie przeczekać w ukryciu całą obławę. Wieczorem B. Koprowski wraz z dwójką Rosjan zaszył się w lasach rozciągających się dosłownie o kilkanaście metrów od zabudowań Aftowiczów.

Płk „Biełow" zawiadomiony drogą radiową o dekonspiracji siatki wydaje następnego dnia rozkaz rozbitej grupie przeniesienia się w rejon Tomaszowa Mazowieckiego.

Zanim to jednak nastąpiło, żołnierze radzieccy dostarczyli polskim partyzantom bombę zegarową, którą postanowiono użyć do wysadzenia w powietrze niemieckiego arbeitsamtu (urzędu pracy) w Gostyninie, w którym zgromadzono setki akt osób przewidzianych na wywóz na roboty przymusowe w głąb Rzeszy Z relacji żyjących obecnie świadków wynika, że transport „piekielnej maszyny" z kryjówki radzieckich wywiadowców w lasach duninowskich powierzono Stefanii Sławińskiej, mieszkance Lipianek. Nie było to łatwe, a tym bardziej bezpieczne, jako że po obławie posterunki niemieckie pilnie strzegły wszystkich dróg wiodących w rejon działania wywiadowców.

Aby nie wzbudzać podejrzeń żandarmerii, w jedną stronę pojechała ona wozem konnym wraz z gospodarzem Janem Wałęsą z Gorenia. Otrzymaną od żołnierzy radzieckich bombę ukryła w koszyku z grzybami. Teraz postanowiła wracać sama, ale inną drogą, przez wieś Boruchowo. Kiedy zbliżała się do miejscowości Lucień zatrzymali ją Niemcy. Nogi ugięły się pod młodą kobietą ze strachu, a w myślach żegnała się już z życiem. Na szczęście żandarmom, po wylegitymowaniu dziewczyny nie przyszło nawet do głowy aby zajrzeć do koszyka z grzybami...

Budynek arbeitsamtu wysadzono 4 października 1944 r. Bombę podłożyła również S. Sławińska. Akcję tą potraktowano jako wspólny akt odwetu radzieckich żołnierzy i polskich partyzantów — za śmierć członków grupy „Jarowoj" i współpracujących z nimi Polaków poległych podczas obławy zorganizowanej przez hitlerowców w lasach duninowskich oraz za prześladowanie ludności cywilnej, udzielającej pomocy wywiadowcom.

Udana akcja w Gostyninie wywołała nową falę represji ze strony Niemców. Wielu mieszkańców tego miasta osadzono w miejscowym areszcie, gdzie trzymano ich około miesiąca. W gorszej sytuacji znalazła się natomiast ludność żyjąca w okolicach lasów duninowskich i gostynińskich. Rozpoczęły się tam liczne aresztowania, wywozy do obozów koncentracyjnych, a nawet wysiedlenia całych wsi.

Za współpracę z czerwonoarmistami hitlerowcy poszukiwali Edwarda Dulskiego, który ukrywał się w Gostyninie przy ul. Kościelnej. Kilka razy organizowano na niego zasadzkę, w którą nie wpadł ostrzegany w porę przez przyjaciół. Siostra E. Dulskiego — Jadwiga (obecnie nosi nazwisko Głogowska) pełniła funkcję łączniczki między wywiadowcami radzieckimi, a współdziałającymi z nimi Polakami. Za tę działalność była aresztowana przez Niemców i wywieziona do obozu, który udało się jej jednak przeżyć i wrócić po wojnie do Lipianek.

Po obławie na radzieckich wywiadowców pod ścisłą obserwacją znalazł się również dom rodziny Aftowiczów, od dawna podejrzanych o współpracę z czerwonoarmistami. 13 grudnia 1944 r. aresztowany zostaje St. Aftowicz i wywieziony do więzienia gestapo w Łodzi. Razem z nim aresztowano również mieszkańca Bierzewic — Nowackiego wraz z synem. Poszukiwanym przez Niemców dzieciom St. Aftowicza — Irenie i Mieczysławowi udało się wówczas zbiec i ukryć.

17 stycznia 1945 r. w przeddzień wyzwolenia Gostynina, podczas jednej z kolejnych obław żandarmi natknęli się na młodego Aftowicza przebywającego u swojej 74-letniej babci Leokadii Rosiak w Pagórku. Nie chcąc się dostać żywcem w ręce Niemców, Mieczysław zaczął się bronić. Zdążył zastrzelić jednego z żandarmów, a drugiego ciężko ranić. Trzeci z Niemców zdążył go jednak dosięgnąć śmiertelną serią z automatu. Rozwścieczeni żandarmi rozstrzelali na miejscu również babcię Rosiak. Tego samego dnia, zatrzymana wcześniej, siostra Mieczysława — Irena, po licznych przesłuchaniach została bestialsko zamordowana przez żandarmów w więzieniu w Gostyninie.

Wkrótce do więzienia gestapo w Łodzi została zabrana także żona St. Aftowicza wraz z 13-letnią córką Krystyną. Na początku stycznia 1945 r. udało im się jednak z niego niemal cudem wydostać. Dużo szczęścia miał także sam Aftowicz, który zbiegł z transportu więźniów z Łodzi do Kalisza. Pozostający na wolności i ukrywający się aż do końca wojny jego brat Franciszek — zaocznie został skazany przez Niemców na karę śmierci.

Wiosną 1945 r. do wyzwolonego spod hitlerowskiej okupacji Gostynina przybywa Koprowski wraz z „Nataszą" i jednym z wywiadowców z grupy „Jarowoj". Niebawem dochodzi do spotkania ze St Aftowiczem, u którego spędzają dwa tygodnie na zasłużonym wypoczynku po dramatycznych przeżyciach ostatnich miesięcy. Beztroski „urlop" nie trwa jednak długo. Do Kutna przyjeżdża wraz ze swym sztabem płk „Biełow", który zarządza koncentrację wszystkich grup wywiadowczych działających w różnych rejonach ziem polskich znajdujących się do niedawna jeszcze pod okupacją niemiecką. Niebawem cała jednostka rozpoczyna intensywne przygotowania do dalszych działań na terenie wroga. Niespodziewanie przerywa je jednak wiadomość o kapitulacji hitlerowskich Niemiec. Radzieccy wywiadowcy otrzymują rozkaz powrotu do kraju, a schorowany Koprowski zostaje zdemobilizowany i przeniesiony do cywila.

Z rodziny Aftowiczów obecnie żyje tylko najmłodsza córka Stanisława, mieszkająca w Kowalu i jego brat Franciszek żyjący w Łodzi i korzystający z zasłużonej renty. W 1976 r. Aftowiczowi udało się odszukać B. Koprowskiego, który wówczas zamieszkiwał w Słubicach, gdzie prowadził warsztat szklarski.

EUGENIUSZ IWANICKI

PORTRET BEZ RAM OZDOBNYCH

ZAPIS I

Sportowa Szkoła Podstawowa nr 55 przy ul. Mackiewicza. Przed wejściem zatrzymuję szkraba, który wypada z drzwi na ulicę, jakby ścigało go całe plemię Apaczów.

— *Stop!* — krzyczę, łapiąc go wpół. — *Powiedz mi, czy tu uczy pani Teresa Glinkowska?*

— *Tu. To pani od pływania. Ale teraz jej nie ma, jest na pływalni.*

Nagłym szarpnięciem wyrywa mi się i pędzi w stronę ulicy Hipotecznej. A w szkole huczy: trafiłem na przerwę.

Dyrektor szkoły, Krystyna Heba, mówi:

— *Pracuje u nas już 20 lat, prowadząc nauczanie początkowe klas 1—3. Jest wybitnym pedagogiem, co zresztą znalazło swoje potwierdzenie u władz zwierzchnich. Zresztą ocena jej pracy zawodowej (na podstawie wizytacji Kuratorium Oświaty i Wychowania, a także naszych obserwacji) jest najwyższa, to znaczy „wyróżniająca się". Wysokie wymagania wobec siebie, wielkie zaangażowanie się w sprawy dzieci oddanych jej pod opiekę, obowiązkowość. Nikt nie pamięta, by kiedykolwiek opuściła bodaj jeden dzień pracy. Nawet gdy ktoś z jej domowników jest chory, ona przychodzi na lekcje — nigdy nie stara się wyróżnić, nie chce być zauważana. To wypływa z jej charakteru, a nie z kaprysu czy fałszywej skromności. Ot, taka niby drobna sprawa: nauczyciele zazwyczaj chcą mieć tak zwane godziny ponadwymiarowe. Ona — nie, choć po skończonych lekcjach w szkole prowadzi po południu swoje dzieci na pływalnię, wyręczając w tym rodziców. Zauważył pan, że nasza szkoła jest sportowa? Właśnie pani Teresa zajmuje się klasą pływacką. I tak codziennie. Co jeszcze? Szybko zżywa się z dziećmi, szybciej aniżeli inni nauczyciele dociera do rodziców, poznaje sytuację domową każdego dziecka, z każdym z nich pracuje indywidualnie, bardzo przeżywa, jeśli coś jej się nie udaje. Jest przewodniczącą samokształceniowej komisji wśród nauczycieli klas 1—3, jest przewodniczącą zespołu wychowawczego, opiekunką najmłodszej grupy wiekowej. Bardzo serdeczna, koleżeńska, chciałaby się ze wszystkimi dzielić tym, co sama wie, jest w niej wielki ład wewnętrzny i zewnętrzny. Co jeszcze? Chyba trzeba dodać, że już w I klasie prowadzi koła zainteresowań, które normalnie są dopiero w klasach 7—8. Jedyny kłopot to ten, że co roku rodzice, przyprowadzając swoje dzieci do klasy pierwszej, chcą a często wręcz domagają się, by uczyła je Teresa Glinkowska. Nie wiem, czy dość powiedziałam, bo o tej nauczycielce można byłoby jeszcze mówić i mówić...*

ZAPIS II

Pobliski Zgierz. Styczniowa noc. W obskurnym budynku Ogniska Pracy Pozaszkolnej przy ul. Świerczewskiego siedzą młodzi nauczyciele. Dwa kaflowe piece są zimne jak lód. Gorąca herbata po paru minutach staje się lodowata, a gdy ktoś zaczyna mówić, z ust wydobywa się kłąb pary.

— *Kochani, przecież to ma być impreza dla dzieci. Teatr „Orfa" nie wystawia spektaklu dla dzieci, lecz organizuje dla nich wspólną zabawę. One muszą się bawić, przeżywać, uczestniczyć.*

— *Czy wychodzimy w kostiumach?* — pyta ktoś Mariana Glinkowskiego, szefa teatru nauczycielskiego „Orfa".

— *W strojach z „Błazenady". One będą dość czytelne dla dzieci.*

— *A dzieci?*

— *Co, dzieci?*

— *Czy też je przebierzemy?*

— *Coś ty, sto pięćdziesiąt dzieciaków?*

— *Może je ubrać w maski z naszych wcześniejszych przedstawień?* — proponuje drobna blondynka chuchając w zgrabiałe ręce.

— *To jest pomysł!*

— *A teksty? Co z tekstami?*

— *Mam tu Gałczyńskiego, Brzechwę, Chotomską, Konopińskiego, Kulmową...*

— *Fajnie, Tolek będzie krasnoludkiem!*

— *A ja?* — pyta Basia.

— *Będziesz uczennicą.*

— *Taką z tornistrem?*

— *Oczywiście, ale kto będzie Winnetou?*

— *Może Heniek?*

— *Jego nie będzie w Zgierzu...*

— *Więc Marian...*

Marian Glinkowski unosi rękę: Uciszcie się, zaraz wszystko ustalimy, tylko może dolejmy wrzątku, bo przymarzłem do krzesła.

Teksty wędrują z rąk do rąk, potem odbywa się ich czytanie, omawianie szczegółów.

Tym razem nietypowa próba teatru nauczycielskiego „Orfa" w Zgierzu, prowadzonego przez męża Teresy Glinkowskiej, Mariana. Zajęcia rozpoczynają się zazwyczaj późnym wieczorem, po godzinie 19. Trwają trzy, cztery godziny. Czasem dłużej. Ze Zgierza do Łodzi nie jest tak daleko, lecz zanim Marian Glinkowski dotrze do domu na ulice Sierakowskiego, minie północ. A rano nie można spóźnić się do szkoły na zajęcia...

I tak od ośmiu lat.

SZKIC DO PORTRETU

Za oknem dogasa styczniowy dzień. W gałęziach rozkołysanych drzew monotonnie zawodzi wiatr. Pod butami skrzypi zlodowaciały śnieg. Ale w mieszkaniu przy ulicy Sierakowskiego 72 jest ciepło, cicho i przytulnie. Centralnym meblem jest tu wielki regał zapchany książkami z dziedziny teatru, historii sztuki, poezji, wypełniony płytami i kasetami magnetofonowymi. Na ścianach obrazy Garbolińskiego i Bobrowskiej. Gospodarz przed chwilą powrócił z pracy.

— *Czwartkowe wieczory spędzam w domu* — mówi Marian Glinkowski. — *W inne dni bywa różnie.*

— *Powiedz od razu, że jesteś tu gościem* — wtrąca Teresa. — *Dla mojego męża doba jest za krótka.*

— *Jak zwykle wyolbrzymiasz. Przecież zdarza się, że jesteśmy wszyscy razem.*

— *O, właśnie: zdarza się!*

Niniejszy szkic jest poświęcony nietypowej rodzinie nauczycielskiej, choć zarówno Teresa jak i Marian Glinkowscy są typowym przykładem drogi pewnego pokolenia.

Gdyby zacząć wertować pożółkłe księgi metrykalne, cofnąć się o parę dziesiątków lat, wówczas okaże się, że antenaci obojga małżonków byli przedstawicielami łódzkiego proletariatu. Eugenia i Kazimierz Wardęszkiewiczowie, rodzice Teresy, mieszkali przy ulicy Pojezierskiej w jednopiętrowej czynszówce, zajmując przeżarty wilgocią pokój. Potem przyszła wojna, okupacja, ojciec trafił na roboty do Reichu, zapadł na zdrowiu, a gdy po wojnie wrócił do Łodzi, któregoś dnia został postrzelony przez bandytę na ulicy Łagiewnickiej. A więc szpital, długotrwała rekonwalescencja. Wkrótce też dały o sobie znać dolegliwości nabyte na przymusowych robotach. Ponownie szpital, skąd już nie powrócił. Mała Teresa została z matką, która, by zapewnić córce naukę, rozpoczęła pracę jako szwaczka w Spółdzielni Pracy Dziewiarskiej „Wzór". Droga Teresy była dość prosta: podstawówka, Liceum Pedagogiczne, Studium Nauczycielskie, Instytut Kształcenia Nauczycieli.

Antenaci Mariana przywędrowali do Łodzi ze wsi: dziadkowie ze strony matki byli fornalami w majątku ziemskim pod Gostyninem, natomiast dziadek ze strony ojca był wiejskim kowalem w jednej z podłódzkich miejscowości. Przed pierwszą wojną babka Pułaczewska z czworgiem dzieci przywędrowała do Łodzi, to samo uczyniła także druga babka — Glinkowska z trzema synami. Tu jeden z nich, Bolesław, poznał Zofię Pułaczewską. Z tego związku urodziło się im troje dzieci, a jednym z nich jest właśnie Marian. Oboje rodzice byli robotnikami: ojciec — murarzem, matka — szwaczką. Marian skończył podstawówkę, ogólniak, Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Łódzkiego. Tu związał się ze Studenckim Teatrem „Pstrąg" występując jako aktor, później sam założył swój własny teatr, Studencki Teatr Uniwersytetu Łódzkiego „STUŁ". W 1969 roku oba te teatry się połączyły, lecz Marian Glinkowski zaczął odczuwać coraz silniejszą potrzebę szerszego wypowiedzenia się i scena teatrzyku studenckiego stała się za ciasna. Jeszcze, co prawda niejako siłą rozpędu, organizuje przy Politechnice Łódzkiej teatrzyk „Quant", lecz wiedział, że to nie to. W tym czasie poznał interesującą grupę ludzi ze Zgierza, w której prym wiedli nauczyciele. Chcieli coś robić, nie bardzo wiedząc jak. I takie były początki teatru „Orfa".

Foto: R. Łucyszyn

PORTRET BEZ RETUSZU

Córka państwa Glinkowskich, Ania, jest akurat chora, bierze antybiotyki. Mimo to dzielnie się trzyma i kiedy fotoreporter szykuje się do wykonania portretu rodzinnego, stara się uśmiechać. Teresa troskliwie otula Anię pledem.

— *Wreszcie wspólny wieczór...* — mówię.

— *Przyzwyczaiłam się, choć kiedy Ania była malutka, nie było mi łatwo.*

— *Nie myślała wówczas pani o innym zajęciu dla męża?*

— *Marian i teatr — to jedno. Ani ja go nie widzę gdzie indziej, ani on nie wyobraża sobie bez tego życia.*

— *Kiedy byłam mała* — mówi Ania — *założyliśmy w domu z tatą nasz wspólny teatr „Pod starym marabutem". Graliśmy oboje, a mama była widownią. I tak było przez kilka lat. Była w naszym teatrze kurtyna i piękny afisz, malowany przez tatę.*

— *A czy teraz tatuś ma czas chodzić z tobą na spacery, na wycieczki?*

— *Czasem. Latem jeździmy niekiedy rowerami do Łagiewnik lub Arturówka, bowiem tata sprawił nam składaki.*

Ania jest w VII B, w klasie matematycznej, należy do kilku różnych kółek matematycznych, mających odrębne programy, uczy się angielskiego, pisze wiersze, a nawet zaczęła pisać powieść. Ale bardzo chciałaby nauczyć się gry na gitarze.

— *Ile masz lat?*

— *Dwanaście* — odpowiada Teresa.

— *Nieprawda, bo prawie trzynaście. Ciągle robią ze mnie dziecko.*

Jest dobrą uczennicą, otrzymała już trzy „świadectwa z paskiem", co uprawnia do pójścia do liceum bez egzaminów. Sądząc z tegorocznych ocen, czwarte świadectwo będzie także „z paskiem".

— *Czyja praca, Aniu, jest ważniejsza: taty czy mamy?*

— *Taty, bo jest ciekawsza, ale mamy jest także ważna.*

Dom państwa Glinkowskich został opanowany przez teatr, czemu trudno się dziwić, skoro trójka mieszkających tu ludzi uległa bez reszty jego wpływowi. Większość rozmów w domu dotyczy teatru, tego, co się dzieje na próbach, rozważa się możliwości nowych propozycji scenicznych. Teresa, jak dobry, życzliwy i mądry przyjaciel wie, że poprzez pasję męża jej życie także nabrało dużo szerszych wymiarów.

— *Mogę jedno stwierdzić* — mówi — *że życie z moim mężem nie jest nudne. Zdarza się, że długo w noc omawiamy sprawy scenografii, teksty, grę aktorską, zastanawiamy się, co z tego przedstawienia będzie, komu i czemu ma ono służyć. W naszym domu takich rozmów jest więcej aniżeli rozmów o samym domu.*

CZY TYLKO ZABAWA W TEATR?

Marian Glinkowski, organizując swój teatr, ukończył podyplomowe studia w Międzywydziałowym Instytucie Nauk Społecznych UŁ i podjął pracę w Zespole Szkół Zawodowych nr 1 przy ul. Zakątnej, gdzie wykłada przedmiot wychowania obywatelskiego.

Nauczycielski teatr „Orfa" powstał w roku 1972. Od tego czasu miał kilka premier. Wystawiano Gałczyńskiego, Witkacego, Baczyńskiego, Borowskiego, Stachurę. Ostatnio idzie „Och! Ach!" — wspaniała błazenada, o której chciałoby się powiedzieć, że w tym szaleństwie jest metoda.

Sama tylko „Orfa" nie wystarcza jednak Glinkowskiemu. Stąd nowe poszukiwania i nowy teatr nauczycielski „Prom", działający przy Związku Nauczycielstwa Polskiego w Łodzi. Na scenie tego teatru jest prezentowany obecnie „Lis" S. Mrożka, który przyniósł tak reżyserowi, jak i wykonawcom spory sukces.

Próby w teatrach zajmują mu trzy wieczory, w pozostałe przygotowuje tzw. teatroskopy, czyli cykle wieczorów poświęconych ludziom i sprawom teatru, organizuje wespół z Wydziałem Oświaty, Wychowania i Kultury Urzędu Dzielnicowego Łódź-Bałuty „Galerie słowa i znaku", raz w tygodniu prowadzi dla młodzieży łódzkiej „lekcje teatru" w ramach śródmiejskiej sceny amatorskiej, a ponadto zajęcia ze studentami pedagogiki kulturalnej z reżyserii małych form teatralnych, prowadzi szkolenia partyjne, wiceprezesuje w ognisku ZNP...

— *Nie jestem „nawiedzony" teatrem* — mówi Marian Glinkowski. — *U podłoża tego, co robię, leży racjonalizm. Teatr jest z natury imprezą społeczną. I właśnie poprzez teatr czuję swoją społeczną przydatność. Wreszcie jest taką rzeczywistością, w której mogę budować swoją utopię, to znaczy moje wyobrażenie o świecie takim, jakim on powinien być, jest miejscem, gdzie realizuję ambicje dynamizowania postaw ludzkich, postaw społecznych.*

Wychodzę z mieszkania państwa Glinkowskich późną nocą. Nagrałem sporo taśmy magnetofonowej, zapisałem kilkanaście stronic w notatniku. Jednakże ciągle mam przeświadczenie, że portret rodzinny mimo wszystko nie będzie doskonały, że nie będzie pełny choćby z tego powodu, że nie da się ludzkiego życia wtłoczyć w żadne, choćby najbardziej ozdobne ramy.

BOGDA MADEJ

SUCHY ŚNIEG

I.

Niedziela, 13 stycznia 1980 roku. Godzina 10.30. Ruszamy do Smardzewa. Zimno. Zza chmur przedziera się powoli słońce.

Mój znajomy, zapytany, gdzie najlepiej wybrać się w niedzielę na narty, powiedział: — *Oczywiście do Smardzewa.*

— A co tam jest?

— *Pojedź, to zobaczysz.*

Więc jadę, choć nie bardzo wiem, jak się do tego Smardzewa jedzie. — Przez Zgierz — radzili jedni. — Przez Łagiewniki — mówili inni. Jedziemy więc przez Łagiewniki.

W Smardzewie są już narciarze. Samochody zatrzymali przy drodze, przypinają narty i ruszają w górki.

— A gdzie tu można coś zjeść, czegoś się napić?

— W *barze „Pod dzikiem"*.

Słońce już się przedarło przez chmury. Zrobił się ładny zimowy dzień. Jedziemy w stronę Zgierza. Jedziemy teraz do „Malinki". Po drodze mijają nas samochody z przyczepionymi na dachu nartami albo sankami. Jadą do Smardzewa.

Do Malinki też ciągnie sznur samochodów. MPK uruchomiło „białą linię", niezmotoryzowani mogą więc przyjechać tu prosto z Łodzi.

W „Malince" ludzi sporo. Drogi zapchane samochodami. Jest też parking. Tablica ostrzega: *„Parking niestrzeżony płatny"*.

— *To za co się płaci?* — pyta ktoś ciekawy, ale nikt jakoś nie umie znaleźć odpowiedzi.

W „Malince" są górki, są wyciągi dla narciarzy, duża tafla lodu. Jest wypożyczalnia sprzętu. Można wypożyczyć narty, łyżwy. Ale są tylko małe numery.

Wjeżdżając do „Malinki" dostrzegłam napis: *„Bar „Stodoła" zaprasza"*. Postanowiłam skorzystać z zaproszenia. Niestety, na barze „Stodoła" wisi piękna kłódka. Zamknięty jest również kiosk przy wjeździe do „Malinki". Zaglądam przez wybite okno. Na stolikach pościągana cerata. W musztardówkach zwiędłe kwiatki.

Ale w „Malince" można zjeść coś ciepłego i napić się. Czynne są dwie kuchnie polowe. Jedna serwuje piwo, cytronetę, pepsi-colę. Wszystko podgrzane. Jest też kiełbasa na ciepło i kaszanka. Jeść trzeba na stojąco. Amatorów sporo. Trzeba dłuższą chwilę postać w kolejce, żeby zdobyć podgrzane piwo i kawałek kiełbasy. Przy drugiej kuchni polowej też tłok.

Wracamy do Łodzi. Po drodze zatrzymujemy się w Nowej Gdyni. Dochodzi południe. Sporo ludzi spaceruje po lesistej drodze prowadzącej do kąpieliska. Zamarznięty staw uprzątnięty kawałkiem. Po lodzie kręci się kilkunastu łyżwiarzy.

— *Tato! A gdzie ten koń?* — pyta chłopczyk.

— *Widziałeś, już odjechał. Nie zdążyliśmy. Musimy poczekać.*

Między drzewami płonie ognisko. Przy ognisku pusto. Restauracja czynna. Sporo wolnych stolików. Ale restauracja czynna tu jest zawsze.

Z Nowej Gdyni jedziemy do Arturówka.

— *Arturówek cieszy się największą popularnością* — poinformował mnie inny znajomy. — *Tam zawsze pełno ludzi.*

Prawda. Ludzi tu rzeczywiście sporo. Łyżwiarze, narciarze, spacerowicze. Są też amatorzy konnych przejażdżek. Właśnie ruszają sanki. Koń stąpa powoli. Sanki zawracają. Pani w futrze idzie prosto na konia. Kiedy zorientowała się, że koń idzie w jej stronę, zaczyna uciekać, ale tak niefortunnie, że wprost pod kopyta Woźnica zatrzymuje konia. Wszyscy się śmieją. Pani w futrze też, choć się nieźle przestraszyła.

— *Jeszcze trochę, a będziemy konie oglądali w muzeum* — mówi jakiś starszy pan ze smutkiem.

— *Co się dziwisz, że się przestraszyła* — tłumaczy młodzieniec w okularach swojej dziewczynie. — *A ty byś się nie przestraszyła konia?*

— *Mamo, pić!* — woła dziecko.

— *Gieniu, skocz do samochodu i przynieś termos i kanapki.*

Gienio idzie, a po chwili wraca. Towarzystwo siada przy okrągłym stole pod dachem. Śniadanie na śniegu. Obok zamknięty na cztery spusty „barobus".

„Bar Jacek zaprasza" — głosi napis. I dodatkowa informacja, że do tego baru 50 m. Nie powinnam się już dać na takie zaproszenie nabrać, tym bardziej, że 10 m od napisu stoi zmontowany w campingowej przyczepie „Rożen", a przed nim spora kolejka. Już ten fakt sugeruje, że bar choć zaprasza, to nie przyjmuje.

Zgadza się. Wejście do baru „Jacek" pokryte nieskazitelnym śniegiem.

W Arturówku są też kioski spożywcze. Ale wszystkie pozamykane.

Przed „Rożnem" nadal kolejka. Ludzie kupują kiełbaski, jedzą stojąc. Ktoś odważny siada przy ośnieżonym stoliku, pozostałości letniego sezonu. A teraz mamy zimę przecież.

Mimo że zbliża się pora obiadu ludzi nie ubywa. Amatorów odpoczynku na świeżym powietrzu jest sporo.

A jak odpoczywają mieszkańcy Pabianic?

Przy wjeździe do miasta, przy słynnym ongiś „zakręcie śmierci" tablica informacyjna głosi, że „Businka" mieści się przy ul. Bugaj 10. Przed pabianickim kąpieliskiem kilka samochodów. Amatorzy łyżew mają tu trzy różne tafle lodowe, po których mogą się ślizgać. Z megafonu płynie muzyka. Czynna jest kawiarnia. Ale amatorów ślizgania się nie ma wielu.

W poniedziałek, z porannej prasy odnotowuję informację o tym, jak wypoczywali łodzianie.

„Głos Robotniczy": *„U zbiegu ulic Zgierska — Stefana Spółdzielnia „Lokator" urządziła oświetlone lodowisko dla najmłodszych, czynne codziennie od 17 do 21."*

Z informacji tej dowiaduję się również, że: *„Także w obiekcie „Mrożynka" w Głownie na miejscowym zbiorniku wodnym czynne jest już lodowisko..."*

Ciepłą herbatę można dostać tam w pobliskim barze „Kefirek".

Nieco więcej informacji przynosi popołudniówka „Express Ilustrowany". A więc, że o godzinie 10 na sztucznym lodowisku w osiedlu „Zarzew" ślizgały się dwie (!) osoby, i że dużym powodzeniem cieszy się lodowisko w parku im. Promienistych. Przychodzą tu odpoczywać nie tylko mieszkańcy Bałut, ale Śródmieścia, Karolewa i Widzewa Wschód.

„Może tajemnicą powodzenia jest fakt — pisze „Express Ilustrowany" — *że na terenie tego właśnie ośrodka znajduje się kawiarenka serwująca gorące dania i napoje? (..) A na większości lodowisk tego właśnie brakuje."*

I ciekawostka. Lodowisko na stadionie KS Metalowiec zamyka się w przerwie obiadowej na 2 godziny. *„Bywa również* — pisze gazeta — *że obok dzieci korzystają z lodowiska... nietrzeźwi."*

II.

W poniedziałek spróbowałam też wyjaśnić przyczyny takiego, jak to widziałam i opisałam stanu organizacji zimowego wypoczynku. Informacji na ten temat zasięgnęłam w Wojewódzkim Ośrodku Sportu i Rekreacji w Łodzi.

Jeszcze nie tak dawno uważano, że wypoczynek należy tak organizować, aby wypoczywający mógł otrzymać wszystko na najwyższym poziomie. No, może nie na najwyższym, ale na wysokim. Uważano zatem, że w ośrodkach wypoczynkowych powinny być przyzwoite, dobrze wyposażone i zaopatrzone restauracje, dobrze zaopatrzone wypożyczalnie sprzętu dobrej jakości oraz w dużym wyborze, że powinni być instruktorzy.

Dziś aktualny jest inny pogląd. Co można zapewnić wypoczywającym? Można im zapewnić odpowiednie tereny, podstawowe urządzenia sanitarne, podstawowy sprzęt i podstawową możliwość zaspokojenia pragnienia i głodu.

Skąd ten minimalizm? Z realnej oceny sytuacji. Przykładem może być gastronomia. Mogłoby się wydawać, że przedsiębiorstwa gastronomiczne Łodzi zainteresują się ośrodkami wypoczynkowymi i wyposażą je w odpowiednie urządzenia umożliwiające spożywanie różnych posiłków. Ale nie. Nie mają w tym żadnego interesu. WSS „Społem" odpowiada tylko za Arturówek i stawy Stefańskiego. Reszta należy już do WOSiR. A WOSiR może przede wszystkim zawrzeć umowy z ajentami, bo gdyby tego nie zrobił, to w ogóle nie byłoby nic do jedzenia i do picia.

Poza tym większość ośrodków rekreacji w Łodzi i województwie przystosowana jest przede wszystkim do sezonu letniego. Wtedy można więcej dać klientom, szukają oni wówczas raczej czegoś do ochłody niż do zagrzania się.

Istotną przeszkodą jest jednak brak kanalizacji. Tak jest na przykład w „Malince". W obecnej sytuacji nie ma żadnych możliwości doprowadzenia kanalizacji do „Malinki" i praktycznie nie ma tam żadnych możliwości rozbudowania gastronomii, która mogłaby również zimą należycie spełniać swą rolę. Nie ma również możliwości, aby doprowadzić tam niezbędną energię elektryczną. W „Malince" — jak mnie zapewniano — czynny jest pawilon gastronomiczny na 48 miejsc, co może nie odpowiada potrzebom, ale obok kuchni polowych zapewnia podstawowe możliwości zaspokojenia głodu i pragnienia. Do tego pawilonu jakoś nie trafiłam.

Dla Arturówka natomiast przygotowany jest plan budowy zajazdu, który umieści się w dawnej leśniczówce. Prace rozpoczną się w tym roku, ale będą prowadzone własnymi siłami WOSiR i potrwają siłą rzeczy dość długo. Ale w Arturówku trzeba rozwiązać dwie podstawowe sprawy: oczyszczalnię ścieków i rozbudowę zasilania w energię elektryczną. Bez tego niewiele można będzie osiągnąć. A tego już nie da się zrobić własnymi siłami WOSiR.

W projekcie jest budowa zajazdu przy dworku na stawach Jana. Ale to projekt dość odległy. Rudzka Góra do WOSiR jeszcze nie należy, ale władze dzielnicy widzą tu w przyszłości spory ośrodek sportu i rekreacji, więc kiedyś przejdzie we władanie WOSiR. Tylko, że Rudzka Góra leży również w rejonie pozbawionym kanalizacji. W Głownie natomiast nie przewiduje się budowy żadnych kawiarni czy restauracji, do istniejących nie jest daleko i one muszą zaspokoić wymagania wypoczywających w „Mrożynce".

Perspektywy — jak z tego widać — nie są porywające. Wybierając się na narty czy łyżwy zawsze dobrze jest mieć ze sobą termos pełen herbaty czy kawy. Tylko, gdzie go później zostawić na przechowanie?

Zmotoryzowani nie mają kłopotu. Przechowują wszystko w samochodach. Nawet, jeśli samochody zostawiają na parkingach płatnych, ale niestrzeżonych. Dlaczego są płatne? Bo płaci się za miejsce do parkowania. To miejsce trzeba było wykupić, nie otrzymało się go darmo. Zgoda, ale dlaczego są niestrzeżone? Bo na tak krótki czas, na jaki zostawia się samochód, jest to niemożliwe, aby WOSiR wziął na siebie odpowiedzialność za pozostawiony samochód i pozostawione w nim rzeczy. Toteż część kierowców parkuje na poboczu dróg dojazdowych, uzyskując za darmo takie same warunki. Zakazu parkowania tam nie ma.

Co mają robić niezmotoryzowani? Niektórzy postulują zorganizowanie przechowalni odzieży i pomieszczeń choć w jakimś stopniu ogrzanych, aby można było gdzieś usiąść i w cieple odpocząć po ślizgawce czy jeździe na nartach. Myślę, że o takie pomieszczenia nie byłoby trudno. Na razie narciarze cały swój bagaż wożą w plecaku.

Nie wszyscy też jeżdżą do ośrodków rekreacyjnych ze swoim sprzętem, licząc na to, że coś sobie pożyczą. A z tym bywa różnie. Ogółem WOSiR posiada 1.200 butów z łyżwami, 600 par nart do zjeżdżania, 400 par nart do biegów, 600 par butów do nart i 200 sanek. Mało tego, jeśli wziąć pod uwagę potrzeby. Sporo, jeśli wziąć pod uwagę wartość tego sprzętu. Trzeba więc czasem czekać na łyżwy czy narty i to denerwuje. Ale trzeba też pamiętać, że WOSiR nie zawsze może uzupełnić swój stan posiadania sprzętu, gdyż na rynku jest go mało, a pierwszeństwo w kupnie mają indywidualni klienci. Sprzęt może wypożyczyć każdy, kto zechce i dostanie. Umiejętności posługiwania się sprzętem nie są brane pod uwagę. Opłaty za wypożyczenie są niewielkie. Możliwości napraw ograniczone, jako że i sprzęt nie jest najlepszej jakości i nie wszystko da się naprawić. Mamy więc taki stan, jaki jest, co nie zadowala ani wypoczywających, ani organizatorów wypoczynku.

W tej sytuacji przydaliby się instruktorzy, którzy pokierowaliby początkującymi, nauczyli ich czegoś, aby obok przyjemności jeżdżenia na nartach czy łyżwach był też z tego jakiś pożytek. Owszem WOSiR zwrócił się do PTTK, Akademickiego Klubu Narciarskiego, AZS i TKKF z propozycją, że zatrudni instruktorów. Zgłosiło się t r z e c h, ale jak usłyszeli, że za 26 dni pracy dostaną z górą 3.700 zł roześmieli się. Mieli z czego. Na stokach Bukowiny Tatrzańskiej na przykład biorą zupełnie legalnie 15 zł za godzinę od osoby. Jeśli popracują tylko 4 godziny i co godzinę będą uczyć jeździć na nartach 10 osób, to ich dniówka wyniesie 600 zł. Po sześciu dniach pracy będą już mieli w kieszeni 3.600 zł.

WOSiR w Łodzi będzie miał 46 instruktorów w lutym. Będą to studenci czwartego roku AWF w Poznaniu. Prowadzone przez nich zajęcia liczyć im się będą jako obowiązkowa praktyka. WOSiR dysponuje obecnie tylko strażą narciarską, której członkowie czasem, przy okazji, zwrócą temu lub owemu narciarzowi uwagę na popełniane błędy w jeździe.

Można byłoby wyliczyć jeszcze kilka różnych braków tej podstawowej rekreacji, najprostszej, jaka wynika z faktu, że mamy śnieg i mróz. Można byłoby przedstawić racje organizatorów, ale rzecz nie w tym. Nie wspominam tutaj o innych formach działalności WOSiR, bo nie jest to moim celem. Wniosek z tego, co napisałam wydaje mi się prosty i oczywisty. Doceniam pracę tych, którzy zajmują się organizowaniem nam wypoczynku, doceniam kłopoty, z jakimi muszą się uporać, aby coś z tego wyszło. Ale wydaje mi się, że my wszyscy dopiero się uczymy prostego, zimowego wypoczynku. Uczymy się organizować go i uczymy się z niego korzystać.

Dziś już wiadomo, że o wszystkim decyduje pogoda, że takich zapalonych narciarzy i łyżwiarzy, którzy pojadą na lód czy śnieg o każdej pogodzie jest mało. Jeśli więc nie ma pogody, lodowiska i górki świecą pustkami, a wtedy nikomu nie jest potrzebna ani gorąca kiełbasa, ani szklanka herbaty. Latem zresztą jest podobnie. Organizator musi zatem liczyć się z ryzykiem, ale to nie powinno zbytnio krępować inicjatywy.

Wiadomo również, że w wolne soboty nic się na ogół nie udaje. W ostatnią wolną sobotę w Pabianicach na „pierwszy ślad", czyli na imprezę dla początkujących narciarzy przyszło 15 osób. Organizatorzy mówią — mało. Ale czy ja wiem, czy to jest mało? Sądzę, że coraz więcej ludzi przyzwyczai się do tego, że można w niedzielę jeździć na nartach, że można niedzielę spędzić na świeżym powietrzu. I jak ich już będzie wielu, to co wtedy?

Już dziś niektórzy postulują, aby pomyśleć o organizacji „expressu-narty" w Góry Świętokrzyskie lub do Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Śląsk ma Beskidy i Tatry i ze Śląska jeździ się tam na wolne soboty i niedziele. Wrocław ma Śnieżnik i Karkonosze i tam się też jeździ na narty. A Łódź ma nie tak znów daleko — niewątpliwie mniej atrakcyjne — Góry Świętokrzyskie i Jurę. Ale z Łodzi nie jeździ się tam na narty. Czy nie ma chętnych? A może by tak spróbować? Może nie od razu będzie tłum.

Bo my się dopiero uczymy odpoczywać. I myślę, że organizatorzy nie mogą o tym zapominać. Uczmy się razem, bo inaczej nic z tego nie wyjdzie.

Foto: L. Włodkowski

MADRYT SPRAWIEDLIWY

(KORESPONDENCJA Z HISZPANII)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Wbrew temu, co pan Dobrzyński napisał w swoim przewodniku, Madryt jest miastem pięknym i ekscytującym, ale trzeba tu parę miesięcy pomieszkać, aby to zrozumieć. Nas Polaków, traktują w Madrycie, jak również w pozostałych regionach Hiszpanii, ze szczególną sympatią, pewnie dlatego, że nie ściągają tu jeszcze watahy handlarzy z kartonami licencyjnych papierosów. Nigdzie chyba poza Hiszpanią nie spotkasz ludzi tak życzliwych, godnych i usłużnych jak w Madrycie; przyglądając się im w sklepach, w kinach, w autobusach, w długich (i jedynych) kolejkach po loterię, która jest narodową pasją Hiszpanów — widzisz, że równie szarmanccy i grzeczni są w stosunku do siebie: niewymuszony uśmiech, ustąpienie miejsca, serdeczne pozdrowienie; człowiek (mężczyzna czy kobieta) zabierający się do zjedzenia kanapki, wpierw zaofiaruje poczęstunek nieznanemu sąsiadowi w przedziale; policjant przejdzie z tobą dwieście metrów, aby dokładnie pokazać ci drogę. Konduktor, z którego ręki odbierasz sprawdzony bilet i któremu mówisz rutynowo:

— Muchas gracias (bardzo dziękuję).

Odpowiada z pochyleniem głowy:

— *A usted* (to ja panu dziękuję).

Doprawdy! Obserwując Hiszpanów — nawet tych z dzielnicy nierządu, która zresztą ogranicza się tutaj do dwóch niewielkich uliczek: Cadiz i Montera, nawet tych z placów i hal targowych, z bingo i bilardziarni, gdzie przecież chodzi o pieniądze — kupujący nie kłócą się ze sprzedawcami, przegrani podają wygranym rękę, i dlatego, doprawdy, trudno uwierzyć, że Hiszpania ma krwawą historię, że była tu wojna domowa i że teraz, w dobie kształtowania się demokracji, każdy dzień przynosi niespodziankę — wybuch, porwanie, zabójstwo, pogróżkę.

Zatem, podskórnie, drgają nerwy wielkiego miasta. Zgiełk ludzkich głosów dudniących w czeluściach wąskich uliczek przerywa nagle krzyk protestu, nieprzerwana detonacja samochodów na głównych arteriach zakłócona jest raz po raz rykiem policyjnych syren. Nie, Madryt nie jest spokojnym miastem! Z odwilżą przyszły swobody, ale pojawiły się również troski, Nie tylko, rzecz jasna, polityczne. Bo jak wolność to wolność! Skoro w całej zachodniej Europie dozwolona jest prasowa, książkowa i filmowa pornografia, dlaczego niby mamy być gorsi? Więc spadł wreszcie na złaknioną, hiszpańską ziemię grad zakazanych owoców — kioski i księgarnie roją się od nagich piękności, kina drugiej i trzeciej kategorii lecą na zbiorowej kopulacji. Jedne swobody pociągają inne. Jeśli są tygodniki dla panów i pań, tu i ówdzie akt lesbijski, to dlaczego niby dyskryminować homoseksualistów? Wychodzi zatem pismo Homo Poder. Ba, Don Pedro domaga się zalegalizowania swoich skłonności przez Kongres Deputowanych, i kwestia, wciąż nie załatwiona, trafia przecież na tapetę.

Jedni domagają się rozwodów, inni legalnego przerywania ciąży. Na murach pojawiły się ulotki z donosem, że 12 kobiet pochodzenia robotniczego, każda z wielodzietnym przychówkiem, skazanych zostało na dwa, trzy, pięć lat więzienia za pozbycie się płodu. Jak dotąd, o czym pisała już w „Przekroju" Urszula Aszyk, sprawę załatwiają samoloty czarterowe, transportujące każdy dwieście — trzysta ciężarnych, zamężnych i niezamężnych kobiet na fotele ginekologiczne w Londynie.

Interesy ścierają się, kontrują. Młody rząd i młoda demokracja nagabywane są ze wszystkich stron, bowiem: nikt nie chce czekać, każdy ma do władzy bardzo pilną sprawę...

Zawodowi piłkarze domagają się ubezpieczeń. Muzycy rozrywkowi — innych płac i innych warunków pracy. Strażacy i śmieciarze, którzy zresztą nie przemęczają się zbytnio, też mają swoje pretensje. Strajkiem grożą hotelarze, którym podniesiono podatki oraz meteorolodzy.

Widziałem kilka demonstracji. Z dzielnicy uniwersyteckiej Moncloa studenci krzyczeli. — *Admisión total!* Nie wiem dokładnie, czy chodziło o przyjęcie zwolnionych niegdyś profesorów, czy też o dopuszczenie do egzaminów wszystkich słuchaczy. W czwartek, szóstego grudnia, tłumy młodzieży, mającej raczej niewiele wspólnego klasą robotniczą, protestowały przeciwko nowemu statutowi pracy. Parę miesięcy wcześniej arystokracja protestowała na Puerta del Sol przeciwko wszelkim autonomiom.

— *Todo por La Patria! Espana unida!*

Decyduję się złamać konstrukcję korespondencji, albowiem nie przed paroma dniami, nie przed godziną, ale w tej właśnie chwili dowiaduję się przez radio (14. 12. 79, godz. 8.00), że owe tłumy, które waliły wczoraj z kierunku Moncloa, wypełniając szczelnie calle de la Princesa, calle de Preciados, calle del Canaen i Calle de Montera, stanowiły resztki rozpędzonej demonstracji przeciwko autonomii uniwersytetów. Ci, co byli za zjednoczeniem uczelni, zbudowali na ulicach barykady z publicznych ławek i wzięli w kocioł interweniującą policję, na którą posypały się kamienie. Policja odpowiedziała strzałami Rezultat — wielu rannych po obu stronach oraz dwóch zabitych, dwudziestoletnich studentów. W kieszeni jednego z nich znaleziono w czasie autopsji większą ilość pieniędzy, co automatycznie wzbudziło wątpliwości.

W połowie listopada wieczorem zmotoryzowane oddziały policji krążyły przez wiele godzin po ulicach i placach, na których miała odbyć się demonstracja konsumpcyjna haszyszu i marihuany. Młodociani narkomani, powołując się na autorytety lekarskie, lansujące opinię, że „trawka" mniej szkodzi od alkoholu i zwykłych papierosów, postanowili przyzwyczaić Madryt — jego mieszkańców i władze — do tej niewinnej używki.

Najwięcej jednak kontrowersji wzbudzają kwestie autonomiczne. Zaczęło się od Basków i Katalonii. Obecnie — nie ma już prawie prowincji (czy też, używając określeń hiszpańskich, kraju), gdzie nie walczono by o suwerenność. Wspomina się o Nawarze, o Walencji i Extremadurze, Galicji, Aragonii, ba! nawet Balearach i Wyspach Kanaryjskich, nie mówiąc już o Andaluzji, która, tradycyjnie, celebrowała 2 grudnia swoje narodowe święto. Celebrowała na terenie całej Hiszpanii, a więc także w Madrycie, na placu Świętej Anny, który usytuowany jest tuż obok mojego hostalu.

Usadowiłem się tam na ławce, nim jeszcze weszli na trybunę pierwsi mówcy — politycy, poeci, działacze kulturalni — i, tak jak można było przypuszczać, autonomia stanowiła dominantę rozważań. Z poszczególnych wystąpień wynikało, że Andaluzyjczycy aczkolwiek mówią językiem hiszpańskim (kastylijskim), nie uważają się bynajmniej za Hiszpanów, bo do królestwa zostali wcieleni siłą. Inny mówca, nie zdając sobie chyba sprawy, zaprzeczył temu nieświadomie, w szczerym zapale, wykrzykując, że Andaluzyjczycy są najstarszym i najwspanialszym ze wszystkich narodów hiszpańskich. Jeszcze inny, co było zgodne z treścią gazet i okolicznościowych ulotek, wspominał o ciężkim losie andaluzyjskich emigrantów, okazuje się bowiem, że ci z nich, którzy pracują w Madrycie, Barcelonie czy San Sebastian są emigrantami. Nawiasem mówiąc, z drukowanego manifestu emigrantów wynika, że 50 tysięcy Andaluzyjczyków pojechało za chlebem na Baleary, 350 tysięcy do Walencji, 200 tysięcy do Baskonii, 1 milion 300 tysięcy do Katalonii, milion do Francji i pół miliona do Kastylii, czyli do Madrytu. Z tej połowy miliona na demonstrację przybyło pół tysiąca.

W samej Andaluzji, w Sevilli, Kordobie, Maladze i Granadzie demonstracje miały przebieg dramatyczny. Organizacje falangistowskie usiłowały storpedować wiece. Doszło do zamieszek i bójek. Tu, nie po raz pierwszy zresztą, okazało się jednak, że siły demokratyczne potrafią interweniować stanowczo i radykalnie, że policja wie, jak bronić porządku. Czternastu faszystów momentalnie trafiło za kratki. Później zostali zwolnieni za kaucją. Ponieważ wysokość owej kaucji wynosiła od miliona do dwóch miliardów peset, możemy sobie wyobrazić, z jakich klas społecznych rekrutują się falangiści. Robotnik nie mógłby tyle zapłacić.

Tym niemniej, właśnie sprawa autonomii jak woda na młyn falangistów, którym przewodzi Blas Pinar, Falanga występuje przeciwko autonomiom i dzięki temu zdobywa sobie zwolenników:

— *Tym, którzy chcą dzielić świętą Hiszpanię, mówimy: Nie!*

— *Wszystko dla silnej, zjednoczonej ojczyzny!*

Taki mniej więcej ton miały wystąpienia falangistów na wiecu zorganizowanym 18 listopada 1979 r. w rocznicę śmierci generała Franco.

Wiec odbył się na Plaza del Oriente. Według organu falangistów (*El Alcazar*) zgromadził 800 tysięcy, według obiektywnego i najlepszego chyba dziennika hiszpańskiego *El Pais*, zaledwie 400 tys. Gdyby przyjąć, że demonstranci rekrutowali się wyłącznie z czteromilionowego Madrytu, byłby to procent spory, sprawa jednak wygląda inaczej — przyjechały wielotysięczne grupy z Baskonii, Andaluzji, Katalonii i innych rejonów kraju, przyjechali faszyści z Włoch, Niemiec i Belgii. Plaza de Oriente przemianowana została okolicznościowo na Plaza de Franco. Mury pokryły się swastykami, plakatami z podobizną Jose Antonio Primo de Rivera, który był pierwszym hiszpańskim ideologiem i przywódcą faszystów. Na każdym kroku można było spotkać hasła: Precz z Żydami, z Cyganami, z Arabami, z komunistami, z socjalistami, z centrystami, z Suarezem. Niech żyją naziści! Europa Hitleriana!

W poniedziałek, 19 listopada, kiedy to nie ukazują się żadne dzienniki z wyjątkiem tygodniowego *Diano*, *El Alcazar* wyszedł w wydaniu specjalnym, sławiąc demonstrację i rzucając jawne pogróżki pod adresem rządu Suareza. W sumie jednak był to tylko krótki i plugawy incydent. Demokracja jeszcze raz pokazała swoją siłę, błyskawicznie wymazując faszystowskie napisy z murów, zalepiając plakaty falangistów plakatami centrystów i socjalistów. Radio, telewizja i cała w zasadzie prasa potraktowała wiec w należyty sposób. Nasiliła się kampania przeciwko ostatnim już ulicom noszącym imiona faszystów. Monety z wizerunkiem Francisco Franco Caudillo de Espana por la Gloria de Dios, z każdym dniem wypadają z obiegu, a w ich miejsce pojawiają się pesety z podobizną króla Carlosa I, który zresztą na mocy uchwały zdobi teraz, w miejsce Franco, ściany wszystkich koszar wojskowych i posterunków policji. Komentarze związane z drugą wojną światową w czasopismach, książkach, radio i telewizji zdecydowanie i jednoznacznie, dużo nawet chyba ostrzej niż w innych krajach zachodu, potępiają hitlerowskie Niemcy.

Taka jest prawda, o dzisiejszym Madrycie i całej współczesnej Hiszpanii.

Madryt jest sprawiedliwy!

Arafat został przyjęty przyjaźnie, prawa narodu palestyńskiego — uznane. Pierwszy program radiowy emituje pieśni partyzantów nikaraguańskich. Castro, choćby dlatego, że mówi po hiszpańsku, cieszy się tu dyskretną sympatią. Z kolei, mimo że także mówi po hiszpańsku, atakowana jest z wielu stron junta chilijska.

Południowych Amerykanów jest zresztą w Madrycie tysiące. Włóczą się po ulicach, wysiadują na placach, są źródłem poważnych problemów — kradzieży, gwałtów, narkomanii. Czytałem nawet artykuł o południowoamerykańskiej mafii, coraz głębiej zapuszczającej korzenie w stołeczny grunt.

Tak czy owak, są to ludzie władający tym samym językiem, Hiszpania robi wszystko, aby sobie ich zanadto nie zrażać. Jakkolwiek bowiem już dawno rozpadło się imperium hiszpańskie, imperium języka kastylijskiego trwa. Jedna z radiowych audycji nazywa się „Hiszpania dla 300 milionów". Są tacy, którzy twierdzą, że należało by ją przemianować na „Hiszpania dla 400 milionów". Oprócz terminu Hispano-Ameryka, coraz częściej słyszy się również termin Hispano-Afryka oraz Hispano-Azja (Filipiny). Po obaleniu Francisco Maticjasa, dyktatora Gwinei Równikowej, wzrok Hiszpanów momentalnie skierował się na ten afrykański kraj. W grudniu 1979 r. pojechała tam z wizytą para królewska i nowy prezydent Gwinei, powołując się nie tyle na przeszłość kolonialną, co na wspólnotę językową, powiedział głosem nie pozbawionym wzruszenia:

— *Hiszpania i Gwinea jest jak Matka i Córka.*

Madryt przyjął to z zadowoleniem.

Foto: J. Katarasiński

W CZYIM INTERESIE...

Zimnowojenna decyzja NATO o rozmieszczeniu na terytoriach: Wielkiej Brytanii, RFN i Włoch nowych rodzajów rakiet jądrowych średniego zasięgu podjęta pod naciskiem USA, RFN i Anglii, oraz decyzja prezydenta J. Cartera w sprawie odłożenia ratyfikacji porozumienia SALT 2 są, najogólniej rzecz biorąc, syndromem nawrotu polityki kanonierek w jej współczesnej postaci. Większość Amerykanów nie akceptuje tej anachronicznej polityki Waszyngtonu, widząc w niej drogę do nowego wyścigu zbrojeń, zagrożenia pokoju, do pogłębienia kryzysu ekonomicznego i dalszego nieograniczonego bogacenia się koncernów zbrojeniowych.

Do pośpiesznych zbrojeń, zarówno nuklearnych jak i konwencjonalnych, nawołuje histerycznie b. sekretarz Stanu, H. Kissinger, niektórzy rozdygotani senatorzy, jak również doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, Z. Brzeziński, autor modnego dziś w USA „łuku niestabilności", obejmującego Azję, Bliski Wschód i Afrykę, a ostatnio także Europę Zachodnią. Do niezwłocznego „nuklearnego przezbrojenia NATO" wzywają oczywiście: kompleks wojskowo-przemysłowy USA i amerykańskie ponadnarodowe korporacje zbrojeniowe. Cała ta operacja, a wchodzą też do niej również inne niebezpieczne posunięcia rządu USA, przebiega pod mrożącym krew w żyłach hasłem „Rosjanie nadchodzą!". Ów fałszywy alarm nader sceptycznie ocenia komentator „New York Daily News", podkreślając, iż „bardzo często służył on do usprawiedliwienia gwałtownego zwiększania wydatków wojskowych kosztem ograniczania programów wewnętrznych, związanych z budownictwem mieszkaniowym, pomocą lekarską i społeczną".

Także i tym razem hałaśliwa i długotrwała kampania o „zagrożeniu ze Wschodu" kryła nową amerykańską rundę walki o przewagę militarną nad ZSRR. A przecież w 1976 roku, niemal w przeddzień wyborów, obecny prezydent USA, J. Carter, wyrażając wówczas opinię i pragnienia ogromnej większości wyborców, powiedział wyraźnie: „Nie narażając na szwank obronnego potencjału naszego kraju oraz naszych zobowiązań wobec sojuszników USA, możemy co roku zmniejszać wydatki wojskowe o 5—7 miliardów dolarów". Ale cóż znaczą słowa. Dziś, pod naciskiem przede wszystkim kompleksu wojskowo-przemysłowego oraz przeróżnych wojowniczych i wpływowych lobby, reprezentujących częstokroć bynajmniej nie narodowe interesy Stanów Zjednoczonych, a przy tym wystarczająco mocno popieranych w Kongresie, w rządzie, w środkach masowego przekazu i wśród części amerykańskiej elity intelektualnej, Biały Dom dokonał zwrotu o 180 stopni i zdąża teraz w zupełnie przeciwnym kierunku.

Od jakiej by strony nie spojrzeć na siłę napędową polityki USA, zawsze na pierwszym planie wyrasta potężny kompleks wojskowo-przemysłowy. No właśnie co to jest kompleks wojskowo-przemysłowy? Trudno na to pytanie odpowiedzieć jednoznacznie. Nie ma on oficjalnie ukształtowanej struktury organizacyjnej i najczęściej działalność jego inspiratorów odbywa się, i pozostaje, w tajemnicy. Ale jego istota nie wzbudza wątpliwości: wojskowo-przemysłowy kompleks jest realną, polityczną i ekonomiczną siłą istniejącą we współczesnych Stanach Zjednoczonych. Jest to zupełnie określone ugrupowanie, reprezentujące przywódców szeregu organów państwowych oraz organizacji prywatnych, osobistości oficjalnych i nieoficjalnych. Wywiera ono przemożny wpływ na podejmowanie decyzji w dziedzinach: wojskowo-politycznej i ekonomicznej, w imię ochrony własnych, wąsko pojętych interesów. Arsenał metod i środków stosowanych przez kompleks wojskowo-przemysłowy w celu osiągnięcia zamierzonych celów — co wytyka nawet prasa amerykańska — jest bardzo duży: od oficjalnych i półoficjalnych procedur uświęconych prawem, aż po najbardziej ciemne machinacje, przekupstwa itp. Doskonały znawca przedmiotu, radziecki publicysta, W. Borysow, wskazuje, że w strukturze kompleksu wojskowo-przemysłowego główną rolę odgrywają trzy najważniejsze komponenty: kierownictwo korporacji wojskowo-przemysłowych, najwyższa elita wojskowa i związane z nimi organa aparatu państwowego. Jest to najbardziej aktywna część kompleksu wojskowo-przemysłowego działająca na proscenium politycznego życia USA. Za jej plecami stoi potężna finansowa oligarchia, która trzyma w swych rękach ster rządzenia krajem. Wpływy kompleksu wojskowo-przemysłowego wynikają przede wszystkim z jego odpowiedzialności za ogólnostrategiczne interesy amerykańskich monopoli.

Rdzeń kompleksu wojskowo-przemysłowego stanowią przede wszystkim korporacje produkujące najnowocześniejsze systemy broni, szeroko znane, potężne, podopieczne firmy Pentagonu. Ale w rozkręcaniu spirali zbrojeń Stanów Zjednoczonych, są także zainteresowane amerykańskie ponadnarodowe korporacje, które zainwestowały ogromne środki za granicą i żądają teraz wojskowej obecności USA w szeregu rejonów świata, dysponujących chłonnymi rynkami zbytu i cennymi surowcami. Koncentracja środków produkcji broni w rękach nielicznych korporacji osiągnęła kolosalne rozmiary i proces ten jest popierany przez rząd, który z kolei jest swego rodzaju więźniem producentów broni. Rzecz w tym, iż w momencie zawierania kontraktów na wyprodukowanie nowego systemu broni, ministerstwo obrony nabywa nie realnie istniejący produkt, lecz tylko „naukowo-techniczne i produkcyjne możliwości" korporacji.

Ponieważ polityka odprężenia przekreśla plany wyścigu zbrojeń, wojskowo-przemysłowy kompleks USA rzucił do boju przeciwko odprężeniu swój rozgałęziony i doskonale opłacany aparat propagandowy, jak również swoich figurantów w rządzie i Kongresie USA. W celu realizacji wielkich kampanii ukierunkowanych na zwalczanie odprężenia stworzono w ostatnich latach nowe organizacje szturmowe w rodzaju: „Komitetu do spraw istniejącego zagrożenia", „Koalicji pokoju z pozycji siły" „Nadzwyczajnej koalicji przeciwko jednostronnemu rozbrojeniu" itp., itd. Opracowują one „teoretyczne podstawy" uzasadnienia wyścigu zbrojeń i odpowiadającego mu zwiększania wojskowego budżetu USA. Ich głównym politycznym credo jest „pokój z pozycji siły", niejednokrotnie zgłoszone także przez przywódców USA. Zwolennicty tej zasady „zimnej wojny" twierdzą, iż pokój może być zachowany tylko w tym wypadku, jeśli USA będą dysponować przewagą militarną, to znaczy jeśli będą w stanie dyktować swoje warunki innym krajom. A w celu zapewnienia przewagi militarnej — głoszą przywódcy owych organizacji — jest niezbędne opracowywanie i produkcja wciąż nowych systemów broni, czyli zwiększanie wyścigu zbrojeń. Przesławna zasada „pokoju z pozycji siły" leży u podstaw oficjalnej doktryny „powstrzymywania". Dominuje ona także w koncepcji tzw. równowagi strachu.

W celu uzasadnienia wyścigu zbrojeń rozdmuchuje się przede wszystkim mit o „sowieckim zagrożeniu" i w związku z tym podnosi się ogromny szum o rzekomym pozostawaniu w tyle USA w tej lub innej dziedzinie wojskowej czy wojskowo-technicznej. Przy tym wszystkim spekuluje się na banalnej współzależności: im większe niebezpieczeństwo — tym wyższe asygnacje na cele wojskowe. W ten sposób nie kończące się rozdmuchiwanie „zagrożenia" stanowi „uzasadnienie" dla nieograniczonego zwiększania budżetu wojskowego. „Uzasadnienia" o charakterze ekonomicznym bazują na mitach, że wyścig zbrojeń stymuluje rzekomo wzrost ekonomiczny, ogólny postęp naukowo-techniczny i zapewnia zatrudninie. Twierdzenia te dawno już zdemaskowała postępowa opinia publiczna i autorytatywni amerykańscy specjaliści.

Wynosi się na szczyty koncepcję, że jakoby badania wojskowe na wielką skalę i opracowania sprzyjają ogólnemu postępowi naukowo-technicznemu. W USA lansuje się również punkt widzenia, iż najbardziej interesujących odkryć naukowych dokonuje się tylko wtedy, gdy są one związane z potrzebami militarnymi. Uważając badania naukowe dla potrzeb wojska za najważniejszy stymulator rozwoju naukowego, autorzy podobnych koncepcji próbują udowodnić, iż starania o ich ograniczenie lub całkowitą likwidację spowodują rzekomo zahamowanie postępu naukowo-technicznego.

Możliwości postępu naukowo-technicznego są nieograniczone, ale wyścig zbrojeń nie może się rozwijać w nieskończoność. Już obecnie nagromadzone zasoby broni są bardziej niż wystarczające do zniszczenia wszelkiego życia na ziemi.

J. CZECH

STEFAN KOWAL

BRUNATNA I ŻÓŁTA PLANETA

Próbniki „Viking" przestały już przekazywać informacje z Marsa. Na razie żaden nowy obiekt nie śledzi tej planety, nie zbliżą się do niej, nie wiadomo też nic, by była w przygotowaniu następna jakaś wyprawa ku niej. Nadszedł czas podsumowań wyników, uświadomienia sobie, co dotychczas dowiedzieliśmy się o Marsie.

Uczeni skłonni są obecnie twierdzić, że nie jest to bynajmniej „Czerwona Planeta", choć jako taka wyraźnie przedstawia się na tle nocnego nieba nad Ziemią. Zdjęcia dostarczone za pośrednictwem kamer telewizyjnych „Vikingów", ujawniają, że na powierzchni Marsa występują głównie kolory brunatne i żółte. Gdzie zatem podziały się owe czerwone barwy, tak wyraźnie widoczne na zdjęciach powierzchni planety z okolic Chryze i Utopie, gdzie osiadły lądowniki próbników „Viking"? Są one wydatnie stonowane — nie silnie czerwone, lecz raczej rudawe i mają oczywisty związek z występującymi tam połączeniami chemicznymi żelaza. Kolory nieba to znacznie bledsza wersja tamtych samych barw.

Powierzchnia Marsa jest obecnie bardzo niespokojna, jeśli pominiemy fakt pojawiania się na niej okresowych zamieci pyłowych i wiatrów powodujących saltację czyli „skakanie" ziarenek pyłu po tej powierzchni. Brak tam jakichkolwiek form sugerujących występowanie życia, brak barwników, które wskazywałyby na istnienie tam jakichś roślin.

Nie ma tam również tzw. artefaktów, to znaczy sztucznych tworów czy sztucznych śladów. Na jednym z bloków odkryto wprawdzie zarys nieco krzywej, odwróconej litery B. Jest to jednak coś zupełnie przypadkowego, podobnie jak zarysy twarzy ludzkich czy kształtów znanych zwierząt dostrzegane przez nas niekiedy na skałach w górach. Inny przykład to marsyjskie „miasto Inków" — układ jak gdyby murów tworzących trochę nieregularne czworoboki, wyrzeźbiony po prostu w twartym podłożu przez wiatry.

Są na Marsie niewątpliwe ślady płynącej wody. Bardzo dawno temu, zapewne przed miliardami lat, gigantyczne fale powodziowe wyrzeźbiły powierzchnię skorupy planetarnej w kilku miejscach. W ciągu, jak się sądzi teraz, niewielu dni, wody o obojętności ogromnego jeziora przelały się, rzeźbiąc głębokie i szerokie kanały, w których powstały wyniosłe wyspy o łezkowatym kształcie. Dziś są to doliny, takie jak Aresa, Sinmund, Tiu i Shalbatana, uchodzące do niecki Chryse, gdzie osiadł lądownik „Vikinga 1".

Od lat znane są ogromne wulkany tarczowe, zwłaszcza pasma Tharsis i Olympus Mons, wznoszące się na około 27 km ponad średni poziom powierzchni Marsa. Ta ostatnia góra opada urwistą skarpą na otaczający teren, wysoką na 2—4 km. Obok tych wulkanów tarczowych odkryto osobliwość planety, nieznaną zupełnie na Ziemi — wulkany talerzowe. Jeden z nich ma średnicę aż 1500 km, lecz wysokość jedynie 3 km. Powstały one przez wylew magmy z jednego centralnego komina.

Są na Marsie smugi jasne i ciemne — pasma pyłu nawianego przez wiatry i miejsca odsłonięte przez nie, ukazujące podłoże. Są zestalające się, lotne substancje, które znów potem sublimują, nawet jest śnieg. W tym zapylonym świecie występują zamglenia nieba, poranne tumany, z kryształków lodu, a jesienią wysoko w atmosferze pojawiają się chmury lodowe, z kryształków zestalonej wody oraz dwutlenku węgla. Nad wzniesionymi wysoko miejscami, takimi jak wulkany tarczowe Tharsis czy Olympus Mons, występują chmury orograficzne — w gazach atmosferycznych, wznoszących się wzdłuż stoku, wskutek znacznego oziębienia pary wodnej, tworzą się kryształki lodu.

Wiele jednak jeszcze pozostało do zbadania, do odkrycia. Następne próbniki ujawnią dalsze tajemnice Marsa. Być może kryją się one między innymi w oazach zauważonych przez R. Huguenina, blisko równika, w najcieplejszych okolicach planety. Występują tam 10—15 razy większe ilości pary wodnej niż w innych rejonach. Może tam właśnie należy szukać śladów życia?

(„Astronautyka")

11 osób zabitych, dziesiątki rannych — oto bilans koncertu angielskiej grupy rockowej „Who". Koncert odbywał się w Cincinnati, Ohio, w USA. Na zdjęciu: akcja ratownicza.

NIE TYLKO HISTORIA

Z HISTORIOGRAFII CZASÓW NOWOŻYTNYCH

Profesora Juliusza Willaume pamiętam jeszcze z czasów kiedy był docentem i wykładał na Uniwersytecie Łódzkim. Przybysz z Poznania wychowanek Adama Skałkowskiego autor wysoko cenionej wydanej tuż przed wybuchem II Wojny Światowej monografii o Fryderyku Auguście, nie zagrzał jednak miejsca w naszym mieście. Odszedł do Lublina wiążąc się w 1953 r. z Uniwersytetem Marii Curie-Skłodowskiej, na którym rozwinął wszechstronną działalność naukową i dydaktyczną. Przypadek J. Willaume'a nie był w tych latach odosobniony: Łódź była bowiem wówczas miastem przez które przeszło tranzytem wielu wybitnych humanistów, zanim osiedli na stałe gdzie indziej. Dlaczego nie zostali oni w Łodzi? O tym wiele można by mówić choć nie znam odważnego, który by powiedział otwarcie o tym, co naprawdę myśli. Tak czy owak zjawisko ucieczki humanistów z naszego miasta było faktem, który wielce zaważył na kształcie łódzkiej humanistyki nie tylko wtedy ale i w wiele lat później.

J. Willaume kontynuował w Lublinie swą dawną problematykę badawczą oraz podjął nową, zajmując się zagadnieniami które do tej pory nie znajdowały się w kręgu jego zainteresowań. Do tej nowej problematyki, którą się zajął, należą z pewnością zagadnienia historiograficzne. Nie wiem, czy do poszukiwań w tej dziedzinie nie zachęcił się jeszcze w Łodzi, która w latach, kiedy był pośród nas, była głównym w naszym kraju ośrodkiem badań z tej nowej wówczas dziedziny. Stało się tak — jak wiadomo — za sprawą profesora Mariana H. Serejskiego rzeczywistego twórcy i organizatora badań historiograficznym w naszym kraju. J. Willaume, który w swych łódzkich latach znany był przede wszystkim jako wybitny znawca historii politycznej czasów nowożytnych — przypominamy sobie piękne studia jakie ogłaszał wówczas na łamach poznańskiego **Przeglądu Zachodniego** — w Lublinie zajął się również zagadnieniami historiograficznymi i to w sposób niezmiernie interesujący. Kilkanaście artykułów, studiów i wypowiedzi uczonego z tej dziedziny, rozproszonych dotychczas po nie zawsze łatwo dostępnych wydawnictwach doczekało się właśnie edycji zbiorowej w pięknie wydanym przez Wydawnictwo Lubelskie (1979) tomie prac. J. Willaume'a opatrzonym tytułem: **Epoka nowożytna w dziejopisarstwie polskim i powszechnym**. Tom ten ukazał się w roku, w którym jego autor obchodził podwójny jubileusz — 55-lecia pracy naukowej i 75-lecia urodzin i został poprzedzony wstępem pióra ucznia autora i kontynuatora jego badań — Wiesława Śladkowskiego.

Książkę tę otwiera szkic o głównych kierunkach polskiej myśli historycznej w okresie pozytywizmu, będący zapisem wygłoszonego przez autora w 1965 r. wykładu inauguracyjnego na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej. **Stanowi on niejako wprowadzenie do problematyki książki**. Następne studia dotyczą zagadnień, które są J. Willaume szczególnie bliskie: czasów napoleońskich. Mamy tu więc szkic o Szymonie Askenazym **jako historyku dwóch stuleci**, krótki esej o Askenazym jako badaczu księcia Józefa Poniatowskiego i studium o Poniatowskim, skreślone w związku z wydaniem w 1974 r. pierwszego powojennego wznowienia sławnej książki Askenazego. Znalazło się tu także studiunm o **polskiej wersji legendy napoleońskiej** oraz szkic **o apologii polityki zagranicznej Napoleona we francuskiej historiografii**, a potem trzy studia bardziej już szczegółowe, poświęcone trzem wybitnym francuskim historykom epoki napoleońskiej: Edouardowi Driault, Georges Lefebvre oraz Andre Latreille. Trzy ostatnie studia, zebrane w omawianym tomie, dotycza problematyki niemieckiej. Mamy tu więc najpierw obszerną szeroko udokumentowaną rozprawę, poświęcona problematyce polskiej w twórczości niemieckiego XIX-wiecznego historyka Fryderyka Raumera, autora głośnej, zakazanej przez policję wielu krajów książki o upadku Polski, która zyskała niemieckiemu autorowi życzliwość wielu polskich czytelników. W tomie znalazł się z kolei krytyczny szkic o nowej syntezie dziejów Niemiec przygotowywanej przez historyków z NRD w oparciu o metodologię materializmu historycznego. Całość tomu zamyka piękne studium, opatrzone wymownym tytułem: **Max Lehmann — postępowy historyk niemiecki i przyjaciel Polaków**, poświęcone pamięci wybitnego niemieckiego uczonego mistrza Szymona Askenazego, jednego z nielicznych **niestety, wybitnych dziejopisów niemieckich** doby imperializmu, który w stosunku do Polaków zajmował stanowisko jednoznacznie życzliwe. **Człowiek, który narzekał na „zaślepienie i okrucieństwo"** hakatystów — pisze o M. Lehmannie J. Willaume — który polityce polskiej ery wilhelmińskiej przepowiadał nieszczęsny koniec dla przyszłości Niemiec, który **najgłębsze zainteresowanie obu narodów pokojową współpracą pojął jasno już u schyłku minionego stulecia, musi być w końcu wyrwany niezasłużonemu zapomnieniu, aby skutecznie służył niemieckim i polskim historykom jako chwalebny przykład prawdziwej uczciwości, głębokiego humanizmu i należycie pojętego historyzmu przy dobrze zapowiadającej się pracy nad umacnianiem stosunków kulturalnych i dobrosąsiedzkich między obydwoma naszymi narodami.**

Nie sposób odmówić racji W. Śladkowskiemu, kiedy na wstępie do tomu nism swego mistrza powiada, że książka ta ukazuje w pełni walory historycznego pisarstwa jej autora. **Głęboka erudycja i wiedza łączą tu się harmonijnie z wytrawnym i pięknym stylem. W świetle fragmentów problematyki dziejopisarskiej rysuje się również wyraźnie sylwetka autora, który jako uczony, związany zawsze ze społeczeństwem, w pisarstwie swym odzwierciedlającym głębokie przemiany, wytrwale i konsekwentnie zmierzał i zmierza do wykrycia objektywnej prawdy.**

Omawiana książka skłania do jeszcze jednej refleksji. Ambitna humanistyka polska rozwija się nie tylko w stolicy — wiadomo o tym nie od dziś. Jednakże ta która powstaje poza Warszawą ma nierównie mniejsze szanse przebicia w porównaniu ze stołeczną. Skutecznie sprzyja temu skupienie w Warszawie największych instytucji wydawniczych. Warszawski autor jest dla nich bardzo często po prostu... swoim autorem. Nie jest tak zawsze, ale bywa nader często. I dlatego na mniejsze oficyny wydawnicze takie właśnie, jak Wydawnictwo Lubelskie, Łódzkie i wiele innych, spada główny obowiązek ukazania dorobku poszczególnych niewarszawskich środowisk naukowych i składających się na nie badawczych indywidualności, ukazania w skali kraju. Nikt inny tego za nie nie uczyni.

ANDRZEJ F. GRABSKI

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

SAGA RODZINY CHORĄŻYCH

Tym razem powodując się instynktem samozachowawczym może rzeczywiście uniknął wpadki, inaczej zachował się jednak mniej więcej w rok później, tyle bowiem nagromadziło się w nim tęsknoty, że nie zważając już na nic postanowił odwiedzić dom. Było to 8 czerwca 1944 roku. Przekazał właśnie instrukcje komórce PPR mieszczącej się w parterowym domku na Karolewie, odebrał jakieś sprawozdania dla KC i powinien był natychmiast wracać. Kiedy się jednak znalazł w śródmieściu i uzmysłowił sobie, że za pół godziny może być u swoich, tulić do siebie żonę i dzieci, ogarnęła go tak przemożna tęsknota, że wbrew swoim wypracowanym od lat obyczajom postanowił w drodze wyjątku ruszyć w kierunku Widzewa. Z tramwaju z reguły nie korzystał, czuł się w nim jak w zamkniętej celi, z której w razie potrzeby nie ma ucieczki, szedł więc raźnym krokiem najpierw ulicą Główną, a potem Rokicińską. Mijał właśnie bramę fabryki Steinera, gdy z portierni wyszedł jakiś wysoki mężczyzna, ubrany po cywilnemu ale w butach z cholewami. Czujność, którą miał już we krwi, podszepnęła mu, by za wszelką cenę uniknąć zetknięcia cię z tym człowiekiem, ale jak miał to zrobić? zawrócić? to dopiero mogłoby obudzić podejrzenia. Przejście na drugą stronę ulicy, jedyne co mu pozostawało, zrobił to, ale o moment za późno, tamten także przeciął na skos jezdnię i zastąpił mu drogę.

— Verzeihung — powiedział zachrypłym głosem — haben Sie zufällig Feuer?

Wojtek wyciągnął z kieszeni spodni zapałki i podał nieznajomemu mrucząc: „Bitte". Nieznajomemu? Gdy tylko rozbłysła zapałka i tamten przysunął płomień do papierosa, Wojtek poznał go natychmiast. Uciekać nie było sensu, pozostawała nadzieja, że Konopka nie rozpozna Wojtka w mroku, w dodatku Wojtka starszego o prawie jedenaście lat, zmienionego przez pełną napięć pracę w konspiracji. Zapaliwszy starannie papierosa, strażak zwrócił mu zapałki ze słowami: danke schön! i przyłożył wskazujący palec do daszka czapki. Wojtek wyminął go i ruszył przed siebie, nie zamierzał już jednak udać się w stronę domu, skręcił w pierwszą bocznicę, kierując się ku nie zabudowanym terenom. Może to był właśnie błąd, jeszcze jeden z całej serii? Na wszelki wypadek zaczął biec, by oddalić się możliwie najszybciej od miejsca spotkania, uspokajał przy tym sam siebie, że w zachowaniu Konopki nie było nic, co by zdradzało, że go rozpoznaje, a poza wszystkim, choć był wiernym pachołkiem fabrykanta, nie musiał przecież wysługiwać się gestapo. Po kilku minutach przestał biec, zdając sobie sprawę, że tym właśnie ściągnąć może na siebie podejrzenie. Z zadowoleniem stwierdził, że ciemności coraz bardziej gęstnieją, jedyną złą stroną sytuacji był fakt, że znalazł się w szczerym polu i do najbliższych zabudowań na Zarzewie miał przed sobą szmat drogi. Powoli jednak uspokajał się i był nawet zadowolony, że dzięki spotkaniu z Konopką przezwyciężył chwilę słabości i nie naraził najbliższych na niebezpieczeństwo.

Przed nim zamajaczyły już zabudowania Zarzewa — mroczne geometryczne kształty, bo obowiązywało przecież zaciemnienie — gdy za plecami usłyszał terkot silnika pracującego na niskich obrotach. Motocykl, sprawa jasna: policja. Obejrzał się za siebie i zobaczył słabiutkie światełko pozycyjne, podskakujące na bruzdach i nierównościach terenu, obliczył błyskawicznie swoje szanse: były żadne, gdyby nawet zaczął biec, nie zdoła osiągnąć linii zabudowy, która dawałaby pewną niewielką możliwość ratunku. Odpiął koszulę i wydobył spod niej parcianą torebkę, kryjącą przesyłkę konspiracyjną, nie przyśpieszając kroku darł papiery na drobne kawałki i rozsiewał je w taki sposób, by uniemożliwić ich odnalezienie i złożenie w całość. Ledwie skończył, usłyszał przedzierający się przez coraz głośniejszy warkot motoru gardłowy okrzyk: „Halt! Halt oder ich schiesse!" Czuł w sobie dziwny spokój, zatrzymał się i czekał aż motocykl z przyczepą zatoczy krąg wokół niego i przystanie pracując na jałowym biegu. Trzech mężczyzn zbliżało się ku niemu tyralierą, dwóch umundurowanych, ze schmeisserami zarepetowanymi do strzału, trzeci... nie było wątpliwości, to był Konopka.

Jeden z policjantów wrzasnął: „Hände hoch!" i przypadł do Wojtka, obmacując go z zawodową wprawą w poszukiwaniu broni, drugi zapewne starszy rangą oświetlił twarz zatrzymanego latarką elektryczną i rzucił pod adresem Konopki krótkie pytanie:

— Dieser?

Tamten skinął milcząco głową. Judasz, pomyślał Wojtek, i w tym momencie otrzymał pierwsze uderzenie w twarz.

O kilkaset kilometrów na wschód od tego miejsca Zenon Miguła wydał właśnie komendę: „Kompania z menażkami do kolacji zbiórka!". Zadudniły ciężkie buciory i na placu między barakami uformował się dwuszereg. Sierżant-szef przeszedł się tam i z powrotem, kontrolując argusowym okiem prężących się przed nim żołnierzy, nic nie uszło jego uwagi, żaden nie dopięty guzik czy źle zawiązany owijacz.

— Tak ci spieszno do koryta? — zrzędził przy tym. — Chleb Boży chcesz spożywać i uważasz, że wolno ci przy tym wyglądać jak flejtuch? Żebym jednego z drugim nie przegonił, jasny gwint!

Któryś za jego plecami odważył się mruknąć:

— Nie Boży chleb, a radziecki.

Miguła obrócił się błyskawicznie i spojrzał groźnie w kierunku mówiącego

— Co za gadanie w szeregu? A chleb, jaki by był, trzeba szanować.

W trakcie kolacji wezwano Migułę do dowódcy.

— Sierżancie — powiedział porucznik Bielecki — kolacja już wydana?

— Tak jest, obywatelu...

— Chłopcy jedzą?

— Tak jest, obywa...

— To niech się pospieszą, bo za godzinę mamy inspekcję generała. Był telefon z Łucka. Broń, buty, wszystko ma lśnić, cholerski świat! Was czynię odpowiedzialnym, jasne?

— Tak jest, oby...

— Wykonać rozkaz.

Generał przyjechał z pewnym opóźnieniem, przeglądu wojska dokonał po ciemku, przy minimalnym oświetleniu, bo choć niebezpieczeństwo nalotów nieprzyjacielskich było już znikome, to przepisy o obowiązku zaciemnienia obowiązywały nadal. Posuwając się powoli przed frontem, dotarł do miejsca, w którym prężył się starszy sierżant Miguła, prawdopodobnie jego podeszły już trochę wiek i rzadkiej urody sumiaste wąsy skłoniły generała do zagadnięcia go:

— Dawno służycie?

— Dziś mija równy rok, obywatelu generale.

— Znaczy żeście kościuszkowiec.

— Tak jest, obywatelu generale.

— Pod Lenino biliście się?

— Tak jest, obywatelu generale.

— Tak, tak — generał odwrócił się do otaczających go oficerów — Rok temu było nas zaledwie sześć tysięcy, a dzisiaj już sto.

I znowu przemówił do Miguły:

— Rodzina w kraju?

— Tak jest, obywatelu generale, a częściowo... po świecie.

— Zwykła sprawa. A skąd pochodzicie?

— Z miasta Łodzi, obywatelu generale.

— Z proletariackiej Łodzi. Pięknie. Nie wybieracie się tam przypadkiem z wizytą, starszy sierżancie? Nie uważacie, że już za długo was tam nie było?

— Tak jest, obywatelu generale! — wrzasnął Miguła i łzy mu się zakręciły w oczach, ale generał nie mógł tego zobaczyć, bo już poszedł dalej, a poza tym było bardzo ciemno. Tej nocy śniła się Zenonowi Migule ślubna małżonka, Marianna z domu Lasek, i córka Antonina. Idę do was — mruczał przez sen — jak pragnę Boga, tylko bądźcie cierpliwe i trochę jeszcze zaczekajcie! Przemknęła mu w tych marzeniach sennych także swarz syna Marka, ale zamglona, nie tak wyraźna jak obraz żony i córki. Musi go gdzieś daleko nosić po tym świecie, pomyślał sobie po przebudzeniu, skoro ledwie go sobie mogłem wyobrazić.

Miał rację Zenon Miguła, bosman-mat Marek Miguła znajdował się tej nocy w pobliżu francuskiej wyspy Ouessant na zachód od obsadzonego jeszcze przez Niemców portu wojennego Brest i od ujścia rzeki Żyrondy. „Błyskawica" i „Piorun" patrolowały w składzie flotylli niszczycieli brytyjskich zachodnie wybrzeże Bretanii, istniała bowiem uzasadniona obawa, że Niemcy zechcą korzystając z nocy wyprowadzić swoje kontrtorpedowce z Brestu, by zaatakować konwoje płynące nieprzerwanie od dwóch dni przez kanał La Manche do przyczółka inwazyjnego w Normandii. Po godzinie pierwszej w nocy radary złapały kontakt, wykrywając zbliżające się jednostki nieprzyjaciela, o 1.27 niszczyciele alianckie otworzyły ogień artyleryjski. Między innymi zagrzmiały także cztery baterie „Błyskawicy", a wśród nich działo kalibru 102 milimetry, którego obsługą dowodził Marek Miguła. Już za trzecią salwą pociski „Błyskawicy" były w celu, w śródokręciu niemieckiego kontrtorpedowca typu „Narvik" pojawiły się błyski eksplozji i płomienie. Rozpoczynała się jedna z największych bitew morskich tej wojny, która miała się zakończyć zdecydowanym zwycięstwem flotylli alianckiej. Dla Marka, podobnie jak dla przeważającej części załogi okrętu, sytuacja nie była nowa, pływając całą wojnę na „Błyskawicy", brał udział w mniej więcej stu patrolach, bronił konwojów, ścierał się z niemieckimi łodziami podwodnymi, odpierał naloty koszące groźnych Ju-88, uczestniczył w bitwach morskich osłaniając akcje desantowe pod Narvikiem i koło portu Bougie w północnej Afryce. Na pokładzie jak zawsze, tak i teraz panował spokój i skupienie, raz po raz padała komenda: ognia!

Gdy Marek brał czynny udział w kanonadzie pod Ouessant, Wojtka przesłuchiwano po raz pierwszy w siedzibie gestapo przy ulicy Anstadta. Chciano zeń wydrzeć biciem i torturami zeznania dotyczące łódzkiej organizacji PPR, gdyby jednak opracy wiedzieli, jaka odporność i zawziętość jest w tym człowieku, darowaliby sobie bezcelowość wysiłków. Nad ranem zaniechano przesłuchań i przewieziono go do obozu karnego mieszczącego się w budynku pofabrycznym na Radogoszczu.

Tośka dowiedziała się o aresztowaniu Wojtka dopiero w połowie sierpnia, zaczęły się dla niej tygodnie wystawania pod murami więziennymi na Radogoszczu, nie kończących się prób przekazania mężowi paczek z bielizną i prowiantem. Jakże dobrze to znała! Zastanawiała się czasem, jak dużą część swego małżeństwa spędziła pod więziennymi bramami, ale nie odczuwała do Wojtka nigdy żalu o to, że skazał ją na takie życie, przeciwnie była mu w dwójnasób wdzięczna za krótkie chwile miłosnych uniesień, które tym więcej ceniła, i za bezmiar uczucia, które odczuwała i na odległość. Z jakim radosnym wzruszeniem odkrywała w czteroletnim Stefanku ogromne podobieństwo do ojca. Słowem nie skarżąc się znosiła dzielnie swój los i tylko czasem popłakała ukradkiem nad Wojtkiem, nad sobą, nad nie spełnionymi nadziejami, ale zawsze robiła to dyskretnie, by dzieci nie dostrzegły śladu łez na jej twarzy. Z pomocą teściowej chowała jakoś tę trójkę w ciężkich warunkach okupacyjnego życia, tak sobie w tym celu układały z Eulalią i Anią pracę, by przynajmniej jedna z nich była na zmianę w domu. Trójka dzieci Tośki i synek Anny chowali się więc i dorastali razem w tym domu bez mężczyzn. Od czasu do czasu znajdowała Tośka wolną chwilę, by pobiec do św. Kazimierza pomodlić się. Kościół spełniał w tych czasach szczególną rolę, w ciszy tu panującej można było uzyskać chwilowy dystans wobec ponurej rzeczywistości, korzystając z tego, że tu nie było słychać wrzaskliwej mowy panoszących się okupantów, a nabożeństwa różańcowe (nadszedł właśnie październik) zespalały uczucia wszystkich uczestników w podtrzymujący na duchu, krzepiący chór, nawet niewierzący mógł szukać ukojenia w tym wspólnym wygłaszaniu modlitwy. Treścią modlitewek Tośki, skrapianych obficie łzami, było wyłącznie błaganie o ratunek dla Wojtka, czasem wiodła w myśli dialog z nim samym. Nie gniewaj się, najmilszy, mówiła do niego, że o życie dla ciebie przychodzę prosić u ołtarza, choć wiem, jak tobie by się to nie podobało, ale do kogo mam pójść? gdzie zanosić błaganie? Wiadomo, że sprawiedliwość nie rządzi naszym światem, może jednak zdarzy się cud i zwróci mi ciebie, kochany!

Zima przyniosła zapowiedź zmiany, po Nowym Roku ludzie zaczęli sobie przekazywać ukradkiem słowa nadziei. Już niedługo — szeptano wzajemnie na ucho — Rosjanie gromadzą na Wiśle tysiące armat, wyrzutni rakietowych, czołgów, są z nimi nasi polscy żołnierze, lada dzień ruszą lawiną i zmiotą hitlerowców z naszej ziemi. Inny rodzaj ożywienia ujawniali okupanci, coś jakby z mniejszą butą traktowali Polaków, na każdym kroku dało się zauważyć ciężarówki, na które w pośpiechu ładowano meble i skrzynie. Obcy sobie Polacy, gdy się przypadkiem mijali na ulicy w sąsiedztwie takich załadunków, wymieniali ze sobą znaczące uśmiechy, już niedługo ich panowania, zdawali się mówić.

Któregoś dnia Anka przyniosła wiadomość, że Steinerowie wyjeżdżają, przed pałacem ich stoją trzy wielkie wozy meblowe Hartwiga, do których znosi się i ładuje srebra, porcelany, dywany, antyki i wszelkie inne dobro. Starzy prezesostwo z córką Ingrid wsiedli wieczorem do czarnego mercedesa i odjechali drogą na Kalisz. Nie było tylko Roberta, którego nie udało się ojcu uchronić przed wcieleniem do wojska i wysyłką na front, podobno został on ciężko ranny podczas lądowania wojsk angloamerykańskich w Reggio di Calabria i wpadł w ręce aliantów.

— Niech jadą z Bogiem — powiedziała Eulalia, gdy wysłuchała relacji o exoodusie swoich pracodawców — I Bóg da, że tu nigdy już nie powrócą.

— Ja bym tam Boga do tego nie mieszała — zaprotestowała energicznie Anka — Niech ich jasna cholera weźmie! Niech za nasze krzywdy nigdy nie zaznają spokoju! Nie zmartwię się, jak im tam gdzieś sowieci zdrowo przygrzeją.

— Aniu! — zgorszyła się matka — Co ty? Tak nie można!

— Można, mamo, można! Za naszego Kaziczka, za Wojtka, za mojego Jaśka w stalagu, za wszystko co nasz naród wycierpiał i cierpi, życzę im wszystkiego najgorszego!

— To nie po chrześcijańsku.

— Trudno, mamo, nazwij to jak chcesz, a ja inaczej czuć nie potrafię!

Tośka nie mieszała się do tej rozmowy, w jej sercu od paru dni rozbłysła nieśmiało iskierka nadziei i migotała, migotała... Jakimś szczęśliwym trafem nie wywieziono dotąd Wojtka do Oświęcimia, czy innego obozu śmierci, pozostawał jeszcze wciąż w Radogoszczu, zaledwie o kilka kilometrów od domu, więc jeśli... Nie śmiała nawet wobec samej siebie dopowiadać tej myśli.

Tej nocy do drzwi Chorążych zapukał sąsiad, Tośka wpuściła go do domu zdziwiona wizytą o tak niezwykłej porze. Dzieci już spały, a wszystkie trzy kobiety były rozebrane. Przybyły nie zwrócił jednak na to uwagi, wniósł do mieszkania atmosferę podniecenia i radosnej emocji, usiadł za stołem, toczył jakiś czas wzrokiem po spłoszonych twarzach kobiet, by powiedzieć wreszcie:

— Ruszyli.

— Kto? — spytała Tośka, jeszcze nie rozumiejąc.

— Jak to kto? Front ruszył, z przyczółka magnuszewskiego, sandomierskiego, spod Jabłonny, Baranowa, na całej linii. Rozniosą Hitlera, jak Bóg na niebie. No, co tak na mnie patrzycie, kobity? Nie cieszycie się? Koniec z naszą męką! Chodzę przede wszystkim po domach, gdzie są chłopy, musimy być gotowi, bo Niemcy chcą podobno wywozić maszyny od Steinera, a do tego nie wolno dopuścić.

— Pewnie — przytaknęła Eulalia — te maszyny to nasz przyszły chleb, jak zdemontują, to na czym będziemy robić? Z głodu przyjdzie umierać. U nas, sąsiedzie, chłopów wprawdzie nie ma, ale sama jestem gotowa pójść warować i bronić, choć jestem baba.

Jeszcze tydzień czekała Łódź na wyzwolenie, choć pomruk zbliżającego się frontu słychać było coraz wyraźniej, Niemcy zdradzali wzrastającą nerwowość, przeprowadzając działania ewakuacyjne w szerokim zakresie. W nocy na 18 stycznia alarm ewakuacyjny ogłoszono dla załogi Radogoszcza. Wojtek wraz ze współtowarzyszami niedoli mógł przez kraty okienne widzieć, jak na podwórze zajechały wielkie samochody ciężarowe kryte brezentem. Panował tam niezwyczajny ruch i bieganina, komendy wydawano głośnym krzykiem, jakby chcąc energią i wysiłkiem strun głosowych zatrzeć strach czy zdenerwowanie. Około drugiej w nocy samochody były zapełnione policjantami i gotowe do odjazdu, zapalono silniki i wśród nieustającego przeraźliwego wrzasku maszyny zaczęły kolejno wysuwać się za bramę jak gigantyczne chrabąszcze. Nadzieja zawitała do serc więźniów.

Jeszcze tylko dwie ciężarówki stały na podwórzu, szykując się do odjazdu, gdy na teren obozu wjechał czarny adler, z którego wysiadł pułkownik policji, jego masywną sylwetkę i twarz solidnego handlowca znali tu wszyscy: komendant obozu Pelzhausen. Nadbiegającym ku niemu oficerom wydał półgłosem jakieś polecenie, wyłączono natychmiast motory ciężarówek, a siedzący w nich na poustawianych rzędami ławkach policjanci poczęli zeskakiwać z powrotem na bruk podwórza.

Minął dzień, a po nim nastał ranek. Jakiś chłopiec załomotał pięścią do okna Chorążych.

— Co tam? — zawołała Anka, uchylając okna i kurcząc się, bo uderzyła w nią fala mroźnego powietrza.

— Sowieci na Rokicińskiej! — zawołał mały i pobiegł dalej dumny, że może być pierwszym zwiastunem dobrej nowiny.

Cały Widzew biegł w stronę Rokicińskiej, wiedziony jednym pragnieniem: zobaczyć! Zbyt wiele razy nie sprawdzały się dobre wiadomości, za dużo było rozczarowań, wierzono teraz tylko w to, co można zobaczyć na własne oczy. Tośka z Krysią i Ewą wybiegły także, na dworze było jeszcze prawie ciemno, tylko w północnej stronie miasta kwitła na niebie łuna pożaru. Nie zwracano na nią uwagi, wielka wojna po blisko sześciu latach znów wkraczała w progi miasta, a wiadomo że wojna lubi sobie przyświecać w drodze pożarami. Cała uwaga skupiona była na dudniącym huku motorów dochodzącym z Rokiciskiej. Gdy dobiegły tam, ulica oblepiona już była tłumem, przesłaniającym całkowicie jezdnię, i tylko nad głowami ludzi widać było przesuwające się wieżyczki czołgów. Z otwartych luków wyłaniali się do pasa oficerowie i żołnierze w skórzanych hełmofonach na głowie, którzy płynąc jak gdyby ponad tłumem pozdrawiali go uniesionymi rękami. Czasem wychylali się jeszcze bardziej by uścisnąć czyjąś dłoń, lub przyjąć wiązankę czerwonych goździków. Jakiś mężczyzna stojący tuż przed Tośką podniósł wysoko do góry swoje maleńkie dziecko, mijający go w czołgu młody lejtnant zrozumiał intencję, wziął chłopczyka z jego rąk, i wydźwignął jeszcze wyżej, ponad swoją głowę. Po chwili opuścił go, ucałował w oba policzki i oddał małą istotkę w ramiona ojca. Tośka rozpłakała się, płakały zresztą wokół niej wszystkie prawie kobiety, i nie tylko kobiety.

Hamując z trudem łkanie powiedziała do Krysi:

— Wiesz, w trzydziestym dziewiątym tą samą Rokicińską wjeżdżał pierwszy patrol niemiecki, sam pan prezes Steiner go witał.

— A teraz ludzie witają — odrzekła rezolutnie dziewczynka.

Radosne święto na wlotowej ulicy trwało, ale Tośka przypomniała sobie, że nie może zostawiać zbyt długo bez opieki małego Stefanka, zapowiedziała więc surowo Krysi, żeby bacznie pilnowała Ewy, sama zaś wróciła do domu. W drzwiach natknęła się na Ankę. W wyrazie twarzy szwagierki było coś takiego, że Tośka zapytała bez tchu:

— Stało się coś?

W odpowiedzi Anka wskazała łunę na niebie.

— Mówią, że Radogoszcz się od wczoraj pali.

— Jezus, Maria!

— Nim uciekli, podpalili więzienie.

— A ludzie? Co z ludźmi, czy ich wypuścili?

— Nie wiem — odpowiedziała Anka z ociąganiem, niechętnie — Opowiadają straszne rzeczy, ale czy to można tak zaraz wszystkiemu wierzyć?

— Zostań z dziećmi, ja biegnę — wyszeptała zmartwiałymi wargami i ruszyła prosto polami, kierując się na blednącą łunę pożaru. Drogę odbyła jak w transie. To niemożliwe, powtarzała sobie, to nie może być prawda.

Sytuacja wydawała się jej wręcz absurdalna, Niemców nie ma, Armia Czerwona na ulicach, a ona miałaby go stracić, nie. nie! Próbowała się modlić do Matki Przenajświętszej, ale jej to wcale nie wychodziło, obracało się w sferze słów bez treści. Na Zgierskiej włączyła się w strumień ludzki płynący od Bałuckiego Rynku w stronę Radogoszcza. Tłum był równie gęsty jak ten na Rokicińskiej, a jakiż przy tym inny, tam promieniowała zewsząd radość i ulga, tu twarze były mroczne. zgaszone, prawie nie rozmawiano ze soba. a jeżeli już to półgłosem, urywanymi zdaniami, bo ponury ciężar zawisł nad głowami, mącił myśli, zatykał oddech.

Gdy znalazła się w bezpośrednim sąsiedztwie fabryki na Radogoszczu której najwyższy budynek przypominał dogasającą pochodnię, wydało jej się, że nie zdoła już zrobić kroku do przodu, na przeszkodzie stali jej ludzie, zbici w jedną masę. trwający w bezruchu jak porażeni. Zdała sobie jednak sprawę, że z pewnością nie wszyscy przyszli tu przywiedzeni niepokojem o swych najbliższych. więc przecież inne musi być prawo dla niej. umożliwiające dotarcie na samo miejsce, zobaczenie, dowiedzenie się wszystkiego

— Ludzie! — zaczęła krzyczeć — Puśćcie mnie, tam jest mój mąż!

Natarła przy tym z nieoczekiwaną siłą na zwarty mur z ludzkich pleców. Było w jej krzyku coś tak przenikliwego i rozpaczliwego, że tłum zaczął się przed nią rozstępować, nie było to łatwe, ludzie i tak byli ściśnięci, jednak wszyscy wokół niej zestrzelili wysiłki, by przepuścić do przodu tę zdesperowaną kobietę o wyglądzie kataleptycznym, wręcz widmowym, powtarzającą chropawym, jakby pękniętym głosem: „Tam jest mój mąż, przepuśćcie!". Krok za krokiem. nieubłaganie zbliżała się do centrum zbiegowiska. Może źle się stało. że ludzie okazali jej tyle wyrozumienia, ale nikt by się nie odważył jej zatrzymać. nie dopuścić, nawet żołnierz radziecki, starający się wraz ze swymi kolegami utrzymać tu jaki taki porządek, usunął się z szacunkiem i tylko ujął ją delikatnie pod łokieć, gdy zachwiała się na nierówności terenu, tracąc chwilowo równowagę

Teraz nic już nie przesłaniało straszliwego widoku: na bruku podwórza w bezpiecznej odległości od dopalających się i grożących zawaleniem murów spoczywało obok siebie kilkaset zwłok ludzkich. że to były ciała ludzkie można się było jedynie domyślić, powyginane dziwacznie i poskręcane, jakieś upiorne woskowe lalki czy manekiny. nad nimi unosiły się strużki dymu, a wokół nich śnieg stopniał od gorąca.

Tośka stała tuż przy trupach jak otępiała, niczego nie rozumiejąca, chustkę, która zsunęła jej się z głowy, ujęła za dwa rogi i poczęła bezsensownym ruchem przesuwać po karku to w jedną, to w drugą stronę, nie płakała przy tym. a było przecież w jej całej sylwetce coś takiego, że stojący obok krasnoarmiejec, człowiek czterdziestoparoletni, szepnął ze współczuciem:

— Nu, niczewo. doczka, niczewo...

A później powiedział już głośno, jakby wszystkich wokół biorąc na świadka:

— Mierzawcy, psy faszystowskie, na sam koniec ich wymordowali!

Ale Tośka tego już nie słyszała, osunęła się powolutku na ziemię i padła zemdlona.

* * *

Komu pisane było wrócić, ten wracał: w trzy dni po tragedii na Radogoszczu pod oknami Chorążych zawarczał wojskowy gazik i wysiadł z niego ciężko starszy sierżant Zenon Miguła. Wysłano go do Łodzi z jakimś poleceniem służbowym, więc znalazł wolną chwilę, by zobaczyć się z córką i wnuczętami Tośkę zastał leżącą w łóżku, nie pozbierała się jeszcze po straszliwym przejściu, była bezwolna i apatyczna, nawet na widok ojca, którego nie widziała przecież od początku wojny. nie zareagowała żywiej.

— Nie dziwcie jej się, panie Zenonie — pokiwała ze smutkiem głową Eulalia. która miała oczy zaczerwienione i podpuchnięte od płaczu. — Rzadko kiedy ludzie tak się pokochają jak tych dwoje. Na moich oczach się ta miłość zrodziła i bodajbym nie dożyła jej wczesnego końca! Dwóch miałam synów i obu mi zamordował wróg przeklęty, jednego na sam początek, drugiego na sam koniec wojny!

Istotnie te dwa zgony — Kazika rankiem 1 września 1939 i Wojtka dnia 18 stycznia 1945 — ujmowały losy wojenne Chorążych w broczącą krwią klamrę, nadając im męczeńskie znamię. Jakie słowa pociechy mógł znaleźć na podorędziu Zenon Miguła, czy słowa mogły w ogóle coś znaczyć, mieć jakiś styk z ponurą rzeczywistością?

— Dobry był z niego chłopiec — powiedział — Krewki, ale dobry. Można było przewidzieć, że przyjdzie mu zginąć młodo, bo zbuntowaną miał duszę.

Nie zważając na pochlipywanie Chorążyny ciągnął dalej to epitafium. do siebie raczej mówiąc niż do tych zmaltretowanych kobiet·

— Taki co siebie oszczędza o swój interes stoi to się uchowa. a tacy jak Wojtek żyją krótko. Ile mu było? Nawet Chrystusowego wieku nie doszedł, ale jak Chrystus za ludzi się poświęcił. I powiem wam. Eulalio i tobie Antośko: nie przeżył tych swoich trzydziestu dwóch lat po próżnicy, z krwi takich jak on dla wszystkich nas przyjdzie lepsze życie, a najważniejsze. że spłodził z tobą, córuchno, tę trójkę dziatwy. Ja wiem. ja wiem, dziecko, ciężko ci będzie bez niego. ale pamiętaj, że cząstka jego żyje w Krysi, w Ewuni i w tym małym Stefku. którego jak mówicie nawet biedak na oczy nie widział. Przyglądaj im się dobrze. Tosiu, a wyda ci się, że mąż twój żyje, że wyszedł tylko na chwilę i wróci teraz albo później i będzie miał prawo zapytać: jak mi wychowałaś te moje dzieci, żono?

Teraz i Tośka rozpłakała się cichutko.

KONIEC

Fragmenty powieści „Dynastia bez herbu", która ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

O POTRZEBIE SUKCESU

Początek roku jest już zwyczajową okazją do podsumowań tego co było oraz przewidywań tego co będzie. Ogłasza się najrozmaitsze listy „dziesięciu najlepszych", plebiscyty hierarchizujące przeszłe działania, przeglądy najważniejszych wydarzeń itd. itd. Potrzeba takich remanentów jest prosta: utrwalić w społecznej świadomości i pamięci te wartości, które będąc miarą osiągnięć dotychczasowych, są jednocześnie kryterium oceny teraźniejszości i przyszłości. Podsumowania owe są inspirowane także, a może i przede wszystkim, społeczną potrzebą sukcesu. Wiedzą o tym doskonale nie tylko publicyści i nie tylko telewizyjni. Pisanie i mówienie o sukcesach, tych zespołowych i tych indywidualnych, jest psychoterapeutycznym zabiegiem perswazyjnym. Lubimy sukces — pomyślny przebieg i finał określonego przedsięwzięcia — tak jak lubimy happy end w powieści czy filmie.

Czytelnik powyższych słów może się spodziewać, iż nastąpi teraz lista sukcesów TVP za ubiegły rok. Otóż nie. I nie dlatego, że nie przywykłem jeszcze do emocjonowania się osiągnięciami naszej telewizji, bom przecież z takich emocji się zwierzał, rzadko wprawdzie, ale jednak. Głównie dlatego, iż pojemność problemowa felietonu jest nazbyt ograniczona, aby pomieścić rozważną analizę tego, co w ciągu ubiegłego roku w TVP oglądaliśmy, od prognoz pogody poczynając, a na „Idei i mieczu" Królikiewicza kończąc. Zresztą takie analizy działalności poszczególnych redakcji powstały: Putramenta pamflet na „Studio Gama" Teresy Krzemień opis teatru telewizji, „Ekranu" ocena programów dla dzieci i młodzieży. Różny jest ich wymiar w przedstawianiu argumentów i różne intencje. Sama telewizja ustami swoich redaktorów usiłuje stymulować — najczęściej dowartościowując — te analizy. Przykład „francuskich sukcesów" teatru TVP aż bije w oczy.

Podjąłem tytułowy temat zainspirowany pytaniem „Studia-2" „Sukces i co dalej?", które Edward Mikołajczyk i Tadeusz Sznuk zadawali piosenkarce Renacie Danel, profesorowi Gryglewiczowi, współwynalazcy prostacykliny, dyrektorom „Polamu". Kozienic i Niewiadowa, twórcy filmowych „Zmór" Wojciechowi Marczewskiemu. Pomagał w zadawaniu pytań („no, niech nam pan coś powie") Jan Ciszewski prowadząc rozmowę z piłkarzem „Wisły" Leszkiem Lipką. Jak z tego wykazu zaproszonych rozmówców wynika, sukces niejedno ma imię. I tak być powinno. Wprawdzie trudno porównywać osiągnięcia całego ogromnego zespołu ludzi, którzy budowali elektrownię w Kozienicach, czy którzy stworzyli widoczną na rynku gałąź przemysłu (myślę tu o niewiadowskiej fabryce) z incydentalnym sukcesem Renaty Danel, ale nie o porównania redaktorom „Studia-2" chodziło. Rzecz była w tym, czym jest sukces w samoocenie tych, którzy go osiągnęli. Pytających, a tym samym widzów, interesowało czy sukces jest zamknięciem jakiegoś etapu działań, jego końcowym efektem, czy też jest także punktem wyjścia w działaniach przyszłych. Ładnie i mądrze mówił o tym profesor Ryszard Gryglewski. Tu czuję się w obowiązku przypomnieć jedną z najciekawszych audycji publicystycznych, jaką w przeciągu kilku miesięcy w telewizji emitowano, a mianowicie program z września ubiegłego roku, zatytułowany „Dialogu ciąg dalszy", którego bohaterami byli, właśnie Ryszard Gryglewski i docent Andrzej Szczeklik, wynalazcy antymiażdżycowego hormonu — prostacykliny. Utkwiła mi w pamięci ta audycja, nie tylko ze względu na naukową rangę wynalazku, ale przede wszystkim na sposób telewizyjnego przedstawienia problemu, który może być wzorcem właściwej, publicystycznej roboty.

Wracając do sobotniego „Studia-2", zastanawia mnie udział w nim Leszka Lipki, który sam pewnie zaproszeniem do cyklu o sukcesie był zdziwiony, tak jak tym, iż był jedynym piłkarzem kandydatem „Przeglądu Sportowego" do „10 najlepszych". Zamieszanie w świecie piłkarskim, spowodowane konfliktem między reprezentantami drużyny narodowej a dziennikarzami (niektórymi) sportowymi, przyczyniło się w niemałym stopniu do rozchwiania się kryteriów ocen poszczególnych naszych futbolistów. Widzieliśmy to wyraźnie w czasie rozmowy Jana Ciszewskiego z Lipką. W epizodach transmisji, które miały ilustrować sukces piłkarza „Wisły" oglądaliśmy futbolową maestrię Zbigniewa Bońka. Wybaczy mi ten sportowy wtręt Bogda Madej, bo sprawa ta nie dotyczy tylko sportu, ma wymiar ogólniejszy. Otóż publikatory, w tym także telewizja, pod presją społecznego zapotrzebowania na sukces, nierzadko taki sukces konstruują nie oglądając się na rzeczywisty jego wymiar, bo ładnie pachnie jakąś z góry (z głowy, czyli z niczego) założoną tezę, bo pozwala na efektowny, stylistyczny wywijas, bo wreszcie, nobilituje sens samej wypowiedzi dziennikarskiej. Wyświetlony przed paroma tygodniami bardzo dobry jugosłowiański film „Brawo maestro" opowiadał także i o tym. Dążenie do sukcesu za wszelką cenę jest nie tylko wynaturzeniem osobowości dążącego, ale i zjawiskiem z zakresu patologii społecznej określonej grupy, która z niskich pobudek w ów domniemany sukces inwestuje. A proces dyrektorów „Hortexu"? (patrz ostatnia „Polityka"). Istne „wszystko za wszystko".

GRZEGORZ GAZDA

GRAJ CYGANIE...

Na ekranach dwa komercjalne szlagiery, czyli to, co ludzie najbardziej lubią w kinie — sensacja i melodramat. Oba filmy — amerykańskiej produkcji, a więc gwarantującej określone umiejętności. „Rój" Irvina Allena, po przerwie kontynuujący serię filmów katastroficznych. przedstawia inwazję ogromnego roju dzikich pszczół afrykańskich na amerykańską bazę lotniczą. „Gról Cyganów" Franka Piersona, dalekim echem przypomina „Ojca chrzestnego", ukazując także egzotykę obyczajową grupy stanowiącej jeszcze jeden element mozaiki narodowościowej amerykańskiego społeczeństwa.

Z powodów więcej niż wyraziście przedstawionych w I i II „Ojcu chrzestnym", owa obyczajowa egzotyka była jednym z wielu wątków gangsterskiej sagi. W „Królu Cyganów" znalazła się natomiast w pierwszym planie, ale sposób jej przedstawienia nawiązał niestety do tradycji. którą na gruncie europejskim dumnie reprezentuje na przykład „Baron cygański" Lehara. Lubimy tę operetkę za jej melodyjność. toteż i amerykański „Król Cyganów" może się z tegoż samego powodu podobać.

Miłośnicy kina, oglądając ten film, wspomną jednak zapewne przynajmniej dwa filmy, które urodę cygańskiego tematu potraktowały nie tylko widowiskowo. Myślę tu o jugosłowiańskim filmie „Spotkałem nawet szczęśliwych Cyganów" Aleksandra Petrovica (nagroda w Cannes 1967) i o filmie mołdawskim „Tabor wędruje do nieba" Emila Lotianu (nagroda w San Sebastian 1976). Pierwszy z nich łączył dramatyczną analizę z przejmującym wizerunkiem ludzkich marzeń i namiętności, drugi był piękną, folklorystyczną balladą, w którą wpisano głębszą kulturową refleksję.

Warto także w tym miejscu przypomnieć znakomity dokumentalny film Władysława Ślesickiego „Zanim opadną liście" z 1964 roku, w którym obraz realiów życia polskiego taboru cygańskiego ujawnia także smutną, nostalgiczną romantykę egzotycznego świata. broniącego się w imię własnych racji i tradycji przed naciskami cywilizacji

Na tle tych wspomnień „Król Cyganów" Piersona razi zbytnią eksploatacją komercjalnych chwytów, które zyskują może szeroką publiczność, lecz nie wychodzą, przy całej odmienności amerykańskich kontekstów społeczno-cywilizacyjnych, poza ową symbolicznie wcześniej wspomnianą operetkową tradycję. Wydaje mi się nawet, że scenariusz „Króla Cyganów" lepiej służyłby musicalowi nikt wówczas nie rościłby wobec niego żadnych pretensji. Czuł to chyba sam reżyser, wprowadzając postać tańczącego Cygana, który funkcjonując poza fabułą filmu, ma mu nadawać ni to balladową, ni to właśnie musicalową konwencję.

W warunkach cywilizacji europejskiej niezwykła cygańska enklawa nowojorska intryguje swą odmiennością i tajemniczością. Jest ona bowiem ciągle przedmiotem zarówno naukowej i kulturowej jak i bardzo potocznej ciekawości. Jej obraz zatem w wariancie amerykańskim bezsprzecznie decyduje o atrakcyjności przedstawianego tu filmu. Nie umiem, co oczywiste, zająć wobec tego obrazu stanowiska merytorycznego. Rozpoznane w „Królu Cyganów" chwyty komercjalne nakazują jednak prawdę tego obrazu wziąć w pewien cudzysłów.

Trudno jednak nie wierzyć w pokazane obyczajowo-cywilizacyjne jego konteksty, które już w pierwszej sekwencji ujawniają odmienność standardu życia europejskich i amerykańskich Cyganów. Ów tabor cygański, na który składa się kawalkada krążowników szos, budzi wśród naszej widowni serdeczne rozbawienie. Prawda, że i u nas wozów cygańskich prawie dziś nie widać, ale były, i to przynosi pamięć wcale nie najstarszego pokolenia. Cyganie w Nowym Jorku mieszkają może skromniej, lecz nie inaczej, niż przedstawiciele innych, zamkniętych etnicznie nacji.

Tym bardziej jednak uderza trwałość mentalności i obyczajów Cyganów. którzy, znalazłszy się hen za oceanem, w tyglu amerykańskiego życia społecznego, niczym w gruncie rzeczy nie różnią się od swych europejskich pobratymców.

Zbuntowany wobec tradycji przodków „następca tronu", przejąwszy w znakomitej kończącej film sekwencji władzę, zamierza wprowadzić swych rodaków w wiek XX. Gdyby mu się to udało. żyłoby się im pewnie lepiej. Czy byliby jednak szczęśliwi?

EWA NURCZYŃSKA

BIUROWE DIALOGI BAUERA

Byłem jednym z tych widzów, którzy sztukę Bauera „Tylko martwy kolega jest dobrym kolegą", obejrzeli ze zwykłej ciekawości. Łudziłem się, że jednak uda się dostrzec w niej powód, dla którego utwór ten wzbogacił repertuar Państwowego Teatru Ziemi Łódzkiej. Nie zobaczyłem jednak na scenie, a nade wszystko nie usłyszałem niczego, co mogłoby fakt zaistnienia tej kolejnej polskiej (a łódzkiej) prapremiery usprawiedliwić. Z chwilą zapadnięcia kurtyny podziwiałem właściwie jedno: odwagę reżysera i pozostałych współtwórców spektaklu, którzy podjęli wysiłek zaprezentowania fragmentu nieznanej dotychczas w Polsce twórczości Bauera. Ale skoro już zostaliśmy z nią po części zapoznani, kilka uwag na ten temat.

Zacznijmy od samego autora. Nosi imię Winfried, „urodził się w 1928 roku i należy do średniej generacji pisarzy zachodnioniemieckich" lub: jest dramaturgiem austriackim, mieszka i pracuje w Grazu, tam również przyszedł na świat w 1941 roku, jako Wolfgang Bauer. Informacja pierwsza pochodzi z wydanego przez PTZŁ programu, drugą podaje Michał Misiorny, kreśląc sylwetki pisarzy w swojej książce „Współczesny teatr na świecie". Można uwierzyć na słowo lub sprawdzić. I choć różnice te nie pozostają w jakimkolwiek związku przyczynowo-skutkowym z jakością prezentowanego spektaklu, nie świadczą chyba dobrze o rzetelności któregoś z informatorów.

Sztuka Bauera przedstawia obraz rzeczywistości w formie krańcowo zdeformowanej. Stworzony na scenie świat zaludniają postacie, dla których największe zagrożenie stanowi sukces bliźniego. Nie jest to świat rozległy. Ograniczają go cztery ściany pokoju, gdzie toczy się bezpardonowa walka o urzędniczy awans, a przesuwane biurka — niczym czołgi na prawdziwym polu bitwy — wyznaczają linię natarcia. Dozwolony jest każdy chwyt o ile tylko wyeliminuje przeciwnika i uczyni go zarazem „dobrym" — bo już nie mogącym stanowić konkurencji — kolegą. Akcja zobrazowana w krótkich, przerywanych jedynie wyciemnieniami scenkach, prowadzi konsekwentnie do realizacji zawartego w tytule twierdzenia.

Bardziej jednak istotne od samej fabuły są poczynione przez autora zabiegi formalne, rzutujące bezpośrednio na jakość spektaklu i sposób jego odbioru. Bauer, pozostając wierny swym założeniom, konstruuje postacie wyposażone w cechy jedynie negatywne. Analogiczna deformacja, polegająca na swoistym zubożeniu, dotyczy również motywów ich działania. W efekcie pojawia się na scenie grupa ludzi-schematów, walczących ze sobą równie schematycznymi, a na dodatek indentycznymi środkami. Wypowiadają kwestie mało odkrywcze, czasem wręcz żenujące lub śmieszne. Nie ułatwia to z pewnością zadania zespołowi aktorskiemu, spośród którego stosunkowo największe możliwości daje tekst odtwórcom postaci dwóch głównych antagonistów Heinzowi (Henryk Dudziński) i Bertramowi (Sławomir Sulej). O ile aktorstwo pierwszego nacechowane jest wyraźną agresją i krzykliwością, a reakcje uzależnione od chwilowych emocji, o tyle Sławomir Sulej tworzy swego bohatera z pomocą krańcowo odmiennych środków ekspresji. Oszczędny w geście, starannie maskujący swoje prawdziwe uczucia i zamiary, stanowi znakomitą przeciwwagę dla szaleńczych wybuchów Heinza. I jest to chyba najlepsza propozycja aktorska w tym spektaklu, dość jałowym zarówno treściowo, jak i formalnie. Właśnie Bertram pozwala uwierzyć w zło, jakie nosi w sobie człowiek.

W biurowych manipulacjach uczestniczą także w mniejszym lub większym stopniu pozostali bohaterowie. Anna Jaros, która najwyraźniej zmonopolizowała role przyciągających swymi wdziękami panienek, jest tym razem sekretarką Elzą. I choć predyspozycje tej aktorki, raczej wewnętrzne niż zewnętrzne, nie bardzo odpowiadają tego typu kreacjom, to jednak w zestawieniu choćby z graną w minionym sezonie sztuką Głowackiego „Cudzołóstwo ukarane" (rola Sexy) widać znaczny postęp. Niewiele natomiast można powiedzieć o epizodycznych rólkach Marii Niedźwieckiej (Sprzataczka) i Euzebiusza Olszewskiego (Dozorca), poza tym, że były na miarę skrojonych przez autora postaci.

ANDRZEJ S. WARZECHA

Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej, scena Teatru Rozmaitości. Winfried Bauer, „Tylko martwy kolega jest dobrym kolegą", przekład: Halina Leonowicz, reżyseria: Jacek Kowalczyk, scenografia: Anna Bobrowska-Ekiert.

POGLĄDY I POLEMIKI

Kiedy byłem młodszy, apodyktyczna pewność siebie bardzo mnie u ludzi irytowała. Uważałem bowiem zawsze, że całkowicie obiektywnie istnieje — być może — wszechświat, natomiast to wszystko co jest w nim, zawsze skażone bywa subiektywizmem.

Dziś już mnie apodyktyczna pewność siebie nie irytuje. Dziś mnie tylko śmieszy.

Rozśmieszył mnie przeto (po raz któryś z kolei), Artur Sandauer — opowiadając z zadowoloną miną o nicości myślowej sztuk Tadeusza Różewicza. Oczywiście — rozumiem autorów *Pegaza*. Kącik rozrywkowy Artura Sandauera zawsze będzie ciekawy, ponieważ nigdy nie można przewidzieć co wymyśli nowego nasz zasłużony (uwaga, korekta!) krytyk. Raz będzie to opowieść o tym, jak Sandauer odtworzył z pamięci wiersz Norwida, którego to wiersza nigdy na pamięć nie umiał... Drugi raz będzie to opowieść o tym, kto pierwszy poznał się na prozie Bruno Schulza...

Tym razem było o tym, że zawartość myślowa dramaturgii Różewicza jest na poziomie czternastolatka, a sam Różewicz to taka Zapolska, tylko doprawiona Beckettem.

Oczywiście takie dyrdymały byłyby zrozumiałe u młodego krytyka, który chce zwrócić na siebie uwagę. Sandauer wcale nie musi zwracać na siebie uwagi — na dobrą sprawę mógłby się w telewizji tylko pokazywać i już miałby zapewnioną widownię, bo przecież naprawdę jest na co popatrzeć. A w ogóle dziwi (ale i śmieszy troszeczkę), że tak oczytany człowiek, tak mało c z u j e z tego co przeczytał. Szkiełko i oko zastąpiły mu zupełnie c z u c i e i w i a r ę — że sparafrazuję Mickiewicza.

Nawiasem mówiąc, znam gorsze przypadki. Takie w których autorzy n i e c h c ą zrozumieć tego co czytają. Przydarzyło się to współpracownikowi *Sztandaru Młodych*, który próbował podjąć polemikę z moim felietonem pt. *Brzydko pachnie*.

Pisałem tam mianowicie, że brzydko mi pachnie publikacja artysty estradowego, nie najwyższego zresztą lotu, który ustawia sobie do bicia swoich kolegów z estrady i po kolei nokautuje — nierzadko bijąc poniżej pasa. Współpracownik *Sztandaru Młodych* chwali się, że umie czytać między wierszami. Być może, ale lepiej jednak czytać normalnie. Wówczas można znaleźć w moim tekście to co zostało tam napisane.

Pisze *Sztandar Młodych: Widokowi tekst Materny „brzydko pachnie". Mnie drażni inny zapaszek. Otóż wiadomo powszechnie, że dość blisko dna polskiej rozrywki są tacy wykonawcy jak Janusz Gniatkowski, Janusz Laskowski i Framerowie. Wszyscy oni współpracują z Estradą Łódzką i Stowarzyszeniem Muzyki Estradowej. Obie firmy działają w Łodzi — tam, gdzie krytykuje się dziennikarza za słuszną krytykę.*

Otóż *Sztandar Młodych* pomylił się podwójnie, bowiem ani Janusz Gniatkowski, ani Janusz Laskowski nie współpracują ani z Estradą Łódzką, ani z SME. Nie lista nazwisk krytykowanych przez Maternę była zresztą powodem mojego sprzeciwu. Chodziło mi o pewne zasady — może zbyt subtelne, aby je współpracownik *Sztandaru* mógł w ogóle zrozumieć?

Bo przecież nie *dziennikarza się krytykuje w Łodzi za słuszną krytykę* — jak ubolewa *Sztandar*. Krzysztof Materna spychając swoich kolegów na przysłowiowe *dno rozrywki* — nie występuje z pozycji dziennikarza, bowiem nim nie jest. Jest natomiast wykonawcą estradowym, który owe *dno* współtworzył — bo przecież z wieloma nokautowanymi przez siebie kolegami wspólnie przez całe lata występował. Czy to *Sztandarowi* nie pachnie brzydko?

I czy nie pachną brzydko metody współpracownika, który nie chce zrozumieć jasnych sformułowań polemicznego tekstu — tylko dlatego, że postanowił bronić kolegę? W ogóle znalazłem się w towarzystwie, które mi zupełnie nie odpowiada — w towarzystwie k o l e g ó w. Kolega kopie swoich kolegów — potem inny kolega broni kopiącego kolegę, gdy mu o b c y — nadepnie na odcisk. Słowem — towarzystwo broni swoich szańców, których zresztą nikt nie ma zamiaru zdobywać, bo nie warto.

WIDOK

GRZEGORZ KRÓLIKIEWICZ

„Jeśli ja sfilmuję krowę, Da mleko a w a n g a r d o w e!"

Rys. Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

PROPOZYCJE

PROBLEMATYKA MORALNA

Coraz częściej mówimy, spieramy się, dyskutujemy o tym, co można byłoby ogólnie określić jako p r o b l e m a t y k a m o r a l n a. Często — co też jest charakterystyczne — nie zdając sobie sprawy z kwalifikacji takich sporów, z tego, o jaką problematykę zaczepiamy, po prostu mówimy o tym, co nas interesuje. Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego staliśmy się nagle takimi moralistami?

Po prostu na skutek bardzo różnych przyczyn, coraz wyraźniej obserwujemy w różnych dziedzinach życia, jak piękne i porywające hasła odstają od rzeczywistości. Dostrzegamy występowanie różnych niesprawiedliwości, widzimy grupy ludzi, którzy wbrew podstawowej zasadzie socjalizmu, że praca jest miernikiem wartości materialnych, jakie otrzymuje się od społeczeństwa, posiadają różne przywileje, które kolą w oczy tych, którzy ich nie posiadają. A czy ja pracuję gorzej? — może zapytać każdy z nas, a czy moja praca jest mniej wartościowa? Przecież we współczesnym i nowoczesnym społeczeństwie każda praca odgrywa określoną rolę i jeśli nie będzie należycie wykonana, to całość będzie jednak kulała. Dlaczego zatem inni mają więcej, choć mniej pracują, a ja mam mniej, choć pracuję ciężko?

Jestem przeciwny mechanicznemu zrównywaniu wszystkich w zarobkach i przywilejach, bo nie o to chodzi. Szukam odpowiedzi na pytanie, skąd nagle zrobiliśmy się tacy wrażliwi na to wszystko, co wchodzi w problematykę moralną? To dobrze, że mamy takie rozległe zainteresowania. Gorzej, że dotyczą one na ogół innych, a nie nas samych. Moralność jest bowiem sprawą dość skomplikowaną i zawsze już tak bywało, że przede wszystkim sądziło się innych, zakładając milcząco, że samemu jest się w porządku. A czy tak jest zawsze i naprawdę?

„Życie Gospodarcze" opublikowało bardzo ciekawą rozmowę z profesorem Andrzejem Tymowskim, który — jak przyznaje — sam, na własną rękę, przeprowadził 100 rozmów, właśnie na temat moralności na co dzień. Profesor A. Tymowski relacjonuje wyniki tych rozmów. Na początek może stwierdzenie ogólne. Oto co mówi: „We wszystkich środowiskach, każdy bez wyjątku rozmówca stwierdzał daleko idące zatarcie się pojęcia tego, co jest uczciwe". Przykład. Wszyscy korzystamy z telefonów służbowych, prawie wszyscy, bo przecież tylko ci, którzy mają do nich dostęp. I bez najmniejszego zastanowienia dzwonimy w sprawach prywatnych często do innych miast. A to — mówi prof. A. Tymowski — jest już nadużycie. Dziwne, prawda. Nigdy, nikomu, nie przyszłoby to do głowy. Bo nie wszyscy mamy telefon w domu, a w pracy jest pod ręką. Albo wożenie „na łebka" służbowym samochodem. No tak, ale i ten, kto korzysta, też w jakiś sposób narusza moralność. A przecież korzystamy.

Chodzi właśnie o to, że przemiany — niekorzystne przemiany, dodajmy — zaczynają się od spraw małych, drobnych, że często jest to działanie w dobrej wierze, bez złych intencji. Jeśli godzimy się jednak na drobiazgi, to później zaczyna się zgoda na sprawy ważniejsze. Żeby na przykład nie gniewać zwierzchności, bo po co ma się kłopotać „takimi duperelami", poprawiamy statystykę. Albo chowamy rezerwy, no bo przecież będzie jakaś rocznica, przyjdzie Pierwszy Maja, inna okazja nadarzy się i trzeba będzie jakiś czyn przedsiębrać, więc rezerwy jak znalazł. W końcu i tak się je wykorzysta. Nikt na tym nie straci, a załoga będzie miała zasługi. Może premia wpadnie. I tak dalej.

W dyskusjach o problematyce moralnej nie bez racji zwraca się uwagę na fakt, że niesprawiedliwość nie rodzi się sama, że tworzą ją warunki, że na przykład niesprawiedliwości sprzyjają kłopoty na rynku, kiedy podaż pozostaje daleko poza popytem, że w ogóle wszelkie trudności sprzyjają postawom pozostającym na bakier z moralnością. To prawda, ale też sprzyja temu zbytnie zbiurokratyzowanie naszego życia, które utrudnia, a niekiedy wręcz krępuje jakiekolwiek działanie kontrolne. Natworzyliśmy multum różnych organizacji i instytucji kontrolnych, które — co tu ukrywać — nie spełniają właściwie swej roli.

Cieszyć zatem powinno nas to zainteresowanie problematyką moralną. Zgoda. Trzeba podjąć walkę z wszelkimi nieprawidłowościami i ze społecznie negatywnymi postawami. To też prawda. Ale chciałbym skromnie zwrócić uwagę, że w zwalczaniu wszelkich zjawisk społecznych nie można ograniczać się tylko do skutków, trzeba widzieć też ich przyczyny. A jeśli ingerencja w przyczyny leży poza naszymi możliwościami, to likwidacja skutków będzie ograniczona i musi być prowadzona mądrze, aby likwidując jedne niesprawiedliwości nie tworzyć innych.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

GDZIE SKLEIĆ SKRZYPCE?

Wiele razy już zdarzyło nam się czytać alarmujące rozważania na temat nadmiaru informacji, zalewających świat. Uważam te alarmy za jak najbardziej uzasadnione. Nikt nie jest w stanie dokonywać jakichś wyborów, porządkować i agregować otrzymane informacje w jakiś światopogląd; poddaje się po prostu walącej mu się na głowę lawinie. To jest tak, jakby ktoś bez przerwy czytał wyłącznie encyklopedie i słowniki. Potem rozwiąże każdą krzyżówkę, ale ani nie będzie miał o żadnej sprawie własnego zdania, ani nie potrafi poszukać samodzielnie takiej wiadomości, jakiej mu właśnie potrzeba — o ile jeszcze będzie odczuwał jakieś w tym zakresie potrzeby.

A jednocześnie czasami brakuje najprostszych informacji, jakie każdy w swojej branży powinien mieć pod ręką. Nie chodzi o żadne superspecjalistyczne nowinkarstwo. Chodzi o prostą pomoc ludziom w wykonywaniu zawodu czy choćby w kultywowaniu zamiłowań.

Dlaczego na przykład w pismach sportowych, których mamy tak wiele, ani w kolumnach poświęconych sportowi, których mamy jeszcze więcej, nigdy nie znajdzie się ogłoszenia, gdzie można nabyć, naprawić lub wypożyczyć sprzęt sportowy: rower, narty, rękawice bokserskie lub maskę dla płetwonurka? Dlaczego w tychże pismach nie ma tłustym drukiem podanych wiadomości o tym, gdzie i w jakich godzinach można popływać, pojeździć na łyżwach, pograć w siatkówkę? Członkowie klubów dowiadują się o tym „po linii" administracyjnej. Ale pływać lubią także starsze panie, na ślizgawki chodziłyby chętnie całe gromady dzieci, łysi panowie poskakaliby przy siatce, nie mając ambicji olimpijskich, a nawet nie studiując na żadnej z kilku akademii wychowania fizycznego.

Pisma literackie i artystyczne uważałyby za sprawę niegodną ich uwagi zamieszczenie anonsu, gdzie plastyk mógłby się zaopatrzyć w farby, blejtramy, pędzle i werniksy; gdzie bibliofil mógłby artystycznie czy całkiem zwyczajnie oprawić swoje prawdziwe czy rzekome białe kruki; gdzie muzyk — amator znajdzie warsztat naprawy akordeonów, gdzie kupi kalafonię i sklei pęknięte skrzypce.

Przedwojenne „Wiadomości Literackie", najświetniejsze z dotychczasowych czasopism tego rodzaju, nie wstydziły się zamieszczać ogłoszeń biur podróży o wycieczkach na Festiwal Teatralny do Leningradu i na wystawę książki ogrodniczej do Erfurtu. Zapowiadano w nich odczyty i imprezy poetyckie, a także — co za czasy! — mające się ukazać książki. Dziś „odnośne" instytucje mogą korzystać wyłącznie z drobnych ogłoszeń w prasie codziennej, albo notatek w tejże prasie — zawsze spóźnionych i przeważnie przegapionych. Co z tego, że w gazecie ze środy przeczytamy w południe o imprezie w Domu Środowisk Twórczych w tę samą środę po południu?

Kroniki kulturalne wszystkich czasopism tego typu — z naszymi „Odgłosami" włącznie — odnotowują wyłącznie zaszłości. Nigdy nie zapowiadają żadnych imprez kulturalnych, chociaż można przypuścić, że ich czytelnicy stanowią bardziej niż kto inny potencjalną publiczność takich imprez. Zapowiedzi takie można — owszem — znaleźć w specjalnych „Informatorach", jakie od pewnego czasu pojawiły się w wielu dużych miastach, jako miesięczniki. Smętnie pomyśleć, jak mały zasięg mają te informatory. Jeszcze smętniej — że znaczna część podanych tam informacji okazuje się potem nieaktualna. A najsmętniej — że trzeba kupić miesięcznik, żeby e w e n t u a l n i e znaleźć coś dla siebie. Kupić browar, bo może przyjdzie ochota na szklankę piwa...

ĆWIEK

SPORT

SUCHY ROK

Ładne i pasjonujące są mecze tenisowe, interesujące są spotkania hokeistów, ale — bądźmy szczerzy — trochę nam już tęskno za piłką nożną. Nie dziwię się więc wcale, że z Wieczoru z dziennikiem zniknęło Studio Sport, a tylko prowadzący dziennik komentuje krótkie sportowe migawki. Ktoś bardzo szybko zjeżdża z góry na nartach, ktoś skacze, ktoś znów zjeżdża i są to na ogół nie nasi zawodnicy. W piłkę grają jeszcze w Anglii, ale tam inny klimat.

To dobrze, że w tym roku wiosenna runda rozgrywek I ligi zacznie się dopiero 9 marca. Czas pokaże, czy będzie to początek na śniegu, czy w błocie. Lepiej zaczynać w marcu niż w lutym, ale jeszcze lepiej byłoby w kwietniu.

W sosnowieckim Zagłębiu odbyła się konferencja prasowa — i takie regularne spotkania mają ponoć być zasadą — na której zwrócono uwagę, że wczesne rozpoczynanie rundy wiosennej i późne kończenie rundy jesiennej czyni piłce nożnej poważną szkodę, że to szkoda czasu, sił, zdrowia. Ale PZPN wie lepiej.

Na tej konferencji zwrócono również uwagę, że kluby mają mało spotkań z innymi głównie zagranicznymi klubami, co też później ujemnie odbija się na wynikach, jakie polskie drużyny uzyskują w meczach rozgrywanych w ramach walki o różne europejskie puchary. Mówiono, że byłoby lepiej, gdyby okres zimy kluby mogły wykorzystać na takie właśnie zagraniczne wojaże. Dodam, że byłoby to z korzyścią, gdyby takie wyjazdy miały charakter bardziej sportowy niż turystyczny.

Kluby zaplanowały zimowe wyjazdy swoich drużyn. Do NRD pojadą między innymi gdyńska Arka, opolska Odra i ŁKS, który rozegra również mecz z belgijskim Bertschotem. Inni pojadą bardziej na południe. Do Jugosławii na przykład wybierają się mielecka Stal i Górnik Zabrze. Takie konfrontacje klubom są potrzebne, ale zdaniem niektórych obserwatorów polskiego piłkarstwa jest ich mało. Nie daje to naszym drużynom niezbędnego obycia, nie pozwala dokładniej poznać przeciwnika nauczyć się czegoś od zagranicznych piłkarzy. Są to bowiem kontakty sporadyczne.

Takie kontakty muszą mieć kluby i musi mieć polska reprezentacja. Tygodnik „Piłka Nożna" opublikował kalendarz spotkań międzynarodowych polskiej reprezentacji. Wiadomo, że 19 kwietnia 1980 roku nasza kadra spotka się z kadrą Włoch. Reszta jest pobożnym życzeniem. Na przykład już w lutym, od 16 do 26 reprezentacja powinna rozegrać — jak przewiduje plan — trzy spotkania na południu Francji. Ale z kim? Tego nie wiadomo.

Zapowiada się suchy rok. W piłce nożnej oczywiście. Do eliminacji do mistrzostw świata polska reprezentacja przystąpi dopiero w 1981 roku. Rok czasu jest więc na przygotowanie tej reprezentacji. Ryszard Kulesza, wypowiadając się na łamach tejże „Piłki Nożnej", przyznaje, że „drużyna posiada co najmniej fundament". I wyjaśnia, jak to rozumie: „To znaczy sześciu, siedmiu zawodników grających stale jesienią ma szansę stać się pewniakami". Żeby jednak nie było wątpliwości, dodał: „Ale szansę wejścia do reprezentacji ma dosłownie każdy". Tak już mówili wszyscy przed Ryszardem Kuleszą i dobrze wiemy że jest to ładna formułka grzecznościowa. Wypada tak powiedzieć. Wiemy przecież, że na ogół do reprezentacji dobiera się zawodników, którzy pasują do koncepcji, a nie tworzy się koncepcji opartej o możliwości graczy.

Nie wątpię, że Ryszard Kulesza chce jak najlepiej, że się stara. Ale cóż to będzie za przygotowanie do mistrzowskich eliminacji, jeśli nasza reprezentacja będzie szkoliła się ze słabszymi partnerami, jeśli nie pozna siły i umiejętności groźnych przeciwników. Pod opublikowanym przez „Piłkę Nożną" wątłym kalendarzu rozgrywek kadry widnieje jedno zdanie: „W sprawie dalszych kontaktów trwają pertraktacje." Można zdziwić się, czy nie za późno? Czy nie trzeba było zatroszczyć się o to wcześniej? Ci najlepsi, na których nam zależało, dawno już poukładali swoje kalendarze rozgrywek, ci, o których jeszcze nie myślimy, mają czas wolny. Jak i my. Ale warto spojrzeć prawdzie w oczy. Czas wolny na międzynarodowe rozgrywki mają na ogół ci, którzy już przestali się liczyć, od których niczego nie można się nauczyć.

Smutny to będzie rok. Ale kibic wszystko daruje, jeśli będzie miał nadzieję, że za rok będzie lepiej, że znów nasi błysną na międzynarodowych boiskach. Tylko czy może mieć taką nadzieję?

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: al. A. Mickiewicza 11, kod poczt. 90-438. Telefony: 652-44 sekretariat i red. naczelny 680-99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Prasowe Zakłady Graf. RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 56. G-2.